

Chotnicka

PIŚMIÓPSKA

Rok III

Luty, 1945 r.

Nr 2 (17)





Fragment z Wielkiego Ottarza Wita Stwosza w kościele N. Panny Marii w Krakowie

ROZPRASZANIE MGŁY

Jutro czemu tak dalekie?
Czy i jutro kalekie,
Czy jak Cherub bez skrzydeł stracony —
C. Norwid — „Wigilis”

Zmarnowana krew i stracony wysiłek —
a nie po dawnemu panować będzie nad
światem... czy też przeciwnie: z posiewu o-
fiar wzrośnie nowy, niezmany a wspania-
ły świat i ogarnie ludzkość niebywałym
szczęściem. Oto skrajne sądy, oto pytania,
które każdy uczestnik wojny stawia sobie
po stokroć.

Jakże odpowiedź, gdy surowy przebieg
szkarań odśladania przed nami tyle sprze-
czności w człowieku, gdy dostrzegamy
wiele siebie zimną nikczemność tuż obok
szlachetnej, wspaniałej ofiarności... A może
jedynie słusze, to hamować myśli i ma-
rzenia i ciągle pamiętać, że nie wiesz, nie
możesz wiedzieć jak się ułożą warunki
bytu, a od nich pono wszystko zależy. Po-
tępie się niby łatwe szkolę myślenia mate-

rialistyczną i zaleca wiarę w czynnik „du-
chowe”, ale praktycznie dosyć powszech-
nie przyjmuje się, że naprawdę ważne i o
życiu decydujące to są tonny produkcji,
mile szos i torów kolejowych — jednym
słowem potęga i organizacja gospodarstwa.

Skoro zaś dzisiaj nic, lub prawie nic, nie
da się powiedzieć o tym, jak gospodarczo
wyjdzie z wojny Europa, więc pono jest
rozsądnie nie wdawać się w ogóle w żadne
przewidywania.

Nie podobna jednak z tym się godzić.
Bronimy się już wprost instynktownie
przed narzucaniem nam sceptycznego sądu,
że wojna nie wstrząśnie człowiekiem. Wy-
daje się już oczywiste, że dla współczesnej
Europie nie jest prawdą, że człowiek pra-
gnie przede wszystkim podniesienia skali
dobrobytu. To jest jeszcze prawdą dla wie-
cznie głodnej Rosji, ale ona nie jest Euro-
pą i o dużo później przeżywa swoje róż-
nowojowe etapy. Europejczyk Zachodu zaznał
już na tyle dobrobytu, że chociaż chciałby

go zwiększać, to jednak nie za każdą cenę.
To też napewno nie mylą się przedsiębiorcy
dyrektorzy amerykańscy, że po prostu ta
forma życia, która zapewni największą
wydajność produkcji, zadecyduje automa-
tycznie i o stylu całego życia po wojnie.
Tylko naiwni adoratorzy maszyny i pro-
dukcji — „zmotoryzowani barbarzyńcy”
wyobrażają sobie, że nie ma trosk innych,
jak to, by najwięcej produkować, a z osi-
gniętego dorobku jak najwięcej uszczuplać
dla siebie.

Zwłaszcza przeżycia wojenne uczą swa-
domie pragnąć także wielu, wielu innych
rzeczy. Jakże śmieszna wydaje się zatem
Polakom, każda próba sprowadzenia na
szych dążeń jedynie do zagadnienia po-
nej miski, jakkolwiek napewno nie zama-
liłmy przesytu w dobrobycie...

Skoro przyjmujemy, że układ naszego
ciała po wojnie nie będzie prostą wypad-
kową przyszłych warunków i cech produk-
cyjnej użyci. Że będzie go formował

watel w znacznej mierze według swych
pragnień — to przecież możemy zajrzeć
w przyszłość, o ile potrafimy zajrzeć do
dusz obywateli. Czegoż oczekują?

Utarte są powiedzenia, że idzie jakiś bli-
zej nieokreślony nowy świat, a z nim i
„nowa Polska”, gdzie wszystko ma być
cudownie, tylko jeszcze nie wiadomo „jak”.
A przecież gdyby się to coś nowego miało
złazić, to winno by już dziś przebłyskać w
nadziejach i dawać obraz pragnień. Ale
umówmy się, co to znaczy „nowe życie”,
„nowa forma społeczna”, „nowy etap” ży-
cia narodu?

Czy „nowym” dla społeczeństwa jest tyl-
ko nowy pomysł dotychczas niepraktyko-
wanego ustroju, nieznanych dotąd form
życia — czy może raczej istotne upow-
szeczenie, szeroka realizacja nawet daw-
no znanych pragnień i potrzeb, ale niedo-
stępnym, lub pozornie tylko dostępnym
dla masy narodu. Trudno rozstrzygnąć co
silniej zmienia życie, czy jakaś, nawet za-
sadnicza, zmiana programu nauczania w
szkołach obejmujących parę procentów
ludności, czy też przeskok z tych paru
procentów na kilkadziesiąt. Napewno zaś wie-
my, że mniej są warte dla społeczności
najbardziej misterne i nowością techną
przepisy ustrojowe i wyborcze, niż elemen-
tarne poszanowanie woli obywatela przy
urnie wyborczej. Nikt też chyba nie wątpi,
że istotne spełnianie zasad moralności
chrześcijańskiej przeobraziłoby życie głę-
biej, niż najradykałniejsze reformy praw-
ne, a przecież w oczach kawiarnianych
społeczników i poszukiwaczy „nowych”
konceptji te hasła moralne zdają się być
już martwe.

Nowym etapem życia narodu będzie prze-
to zwykle nie tyle zjawienie się nowych,
rodzących się i częstokroć jeszcze mętnych
dążeń, ile istotnie masowa, zbliżona do
powszechności realizacja pragnień tkwią-
cych w obecnym walczącym pokoleniu. Czy
można pragnienia te odczytać, czy są one
zwarte, świadome swego kierunku?

Naturalnie, gdy chcemy pojąć istotne
dążenia społecznych ludzi — ograniczmy
się wyłącznie do swego narodu. Byłoby bo-
wiem ambicioznie przesadną sądzić, że wśród
innych, obcych nam umysłów i nieznanych
uczuciu zdaliśmy równie dobrze się orien-
tować. Jest oczywiste, że nie tylko mate-
rialne skutki wojny, ale i jej wpływy na
dążenia narodów nie są wcale jednolite.
Kto chce ująć ryczałtem przemiany społe-
czne po wojnie dla „całej ludzkości”, ska-
zuje się albo na płytkie ujęcie — tego
tylko co istotnie jest wspólne — albo na
ujęcie błędne, wobec istnienia wielkich
sprzeczności. Czegoż można dopatrzeć w
nas samych?

Najogowi deklamatorzy o rewolucji pro-
rokują Polsce jakieś wielkie wstrząsy
ustrojowe, radykalne reformy, rewolucję
agrarną. Obawiają się, że działania mo-
skiewskiego komitetu w Polsce mogą po-
zyskać chłopów. Wydaje się to całkowicie
bezasadne. Byliśmy krajem o wybitnym
charakterze chłopskiej własności rolnej
(80% użytków rolnych należało do małej
własności) i nic nie zapowiada, aby umysły
rolników naszych miały się odwrócić od
tej formy posiadania i zapalić do jakiejś
innej. Ani moskiewski kolektyw, ani nie-
miecki folwark z przymusową pracą wsi
napewno nie budzą żadnych ku sobie
chęci. Przeciwnie, przejścia wojny mogą
tylko wzmocnić pragnienie posiadania na-
własności swego kawałka ziemi. To zaś, czy



Kościół św. Jana w Gnieźnie
Wnętrze prezbiterium z polichromią z XIV w.

pozostałe 20% ziemi rolniczej ulegnie w
pełni, czy nie w pełni parcelacji — nie
zmieni już zasadniczo charakteru naszego
rolnictwa. Krajem drobnej własności rol-
nej pozostaniemy zapewne długo, jeżeli
własna wola Polacji będzie układać nasze
sprawy. Podobnie w zakresie przemysłu i
handlu nic nie zapowiada rewolucji, nie
ma oznak namiętności do upaństwowienia
wszystkiego. Na ogół nie wątpi się, że
zajdą potrzebne „regulacje”, ograniczające
możliwość nie uzasadnionego bogacenia się
małej grupy kierowniczej i że będzie to u
nas spokojnie dokonywane przez państwo,
podobnie jak w innych krajach.

W tendencjach politycznych — nie ist-
niał przed wojną i nie zrodził się w czasie
wojny instykt zabójczy, któryby pchał
naród na drogę podboju i kazał skupiać
marzenia wokół panowania nad innymi.
Trwa tylko dawna gotowość do wspólnej
obrony grupy narodów między Rosją a
Niemcami i krzepnie wola szybszej reali-
zacji tego związku. Urasta jakby poczucie
nowego obowiązku Polski.

Nie zalała nas też dotąd — i zapewne
już nie zaleje — gorzka fala rezygnacji i
i poddania się cudzej miazdzącej woli.
Mimo olbrzymich strat, nie przelastczamy
się w materiał na niewolników. Im dłużej
trwa nasza samotna i krwawa droga, tym
ostrzej uczymy się spoglądać na otoczenie
i dumniej podnosimy głowy. Ani nie im-
ponuje już bogactwo, ani nie ludzą słowa
i pozory. Wiemy już, jak w jaskrawym
blasku pożogi obnaża się surowa prawda.
Obmierzła kamliwe słowo. Mierz wartości

stała się rzetelna bliskość: Słowa i Spei-
nienia.

I dlatego nie nowinkarstwo i nie „rewo-
lucyjne” tęsknoty wytyczają drogę naszym
pragnieniom. Nadzieją zbiorową staje się
prawdziwsze i powszechniej-
sze urzeczywistnienie trwałych dążeń
wolnego człowieka. I właśnie ta nadzieja
odśladania nam obraz nowej, oczekiwanej
epoki.

Dla Narodu — rzetelna wolność organi-
zowania własnego życia według swojej
prawdy, a więc i otwarta droga do sięga-
nia o przodownictwo kulturalne w Europie
Środkowo Wschodniej.

Dla człowieka w Polsce — realny wpływ
na bieg życia zbiorowego, a więc i prawo
obrony przed totalitarną wszechwładzą
państwa, — udział w tworzeniu kultury
narodowej, a więc podjęcie walki o pełny
sens indywidualnej pracy, o jej uchronie-
nie od nędznej roli trybu w maszynie, —
właściwy podział owoców pracy, więc
troska o to, by i słabsze ręce odnalazły
dostęp do zaspakajania swych potrzeb ma-
terjalnych i umysłowych (zwłaszcza w
kształceniu).

Oderwani od ziemi, pozbawieni własno-
ści, wygnani nie tylko z domów, ale także
z rodziny — tym bardziej gorąco i świadom-
nie pragniemy przywrócenia tych zwią-
zków. Kobieta polska, choć bierze udział i
w walce i w pracy wojskowej i w nowo-
czesnej produkcji, wprężnięta w maszynę
— nie przybliżyła się wcale ani do ideałów
bezdolnych ani do totalistycznej ado-
racji świata techniki i produkcji.

Nie pot-rodzina z piekarni zamiast dzieci, lub z dziećmi po żłobkach — a właśnie cała, pełna, raczej tradycyjna i w sobie zamknięta. Nie zmienny przydział mieszkaniowy w gromadzie — a „dom”, nie rurowanie przywileju własności — a właśnie pełne jego upowszechnienie. I nie praca przeklęta, z nakazu i w nudzie, aby móc żyć — a praca związana z celem, konieczna składowa sensownego życia.

Nasze Jutro, by nie było kalekie, musi być jasne w uczuciach, musi ogarniać ogół, a przecież gruntować jako cel wartościowe życie jednostki. Wtedy tylko odpowie ono

Tomasz Orawski



Kraje Międzymorza

DLACZEGO MIĘDZYMORZE?

Termin „międzymorze” przyjął się w naszej literaturze politycznej dopiero w czasie bieżącej wojny. Używa się go dla szerokiego, biegnącego z północy na południe pasa Europy środkowo-wschodniej, obejmującego przed drugą wojną światową pełne terytoria państwowe 11 państw: Estonii, Łotwy, Litwy, Polski Czechosłowacji, Rumunii, Węgier, Bułgarii, Jugosławii, Albanii, Grecji.

Przez polityczną ideę międzymorza rozumie się koncepcję połączenia wymienionych 11 państw w federację, czyli państwo związkowe. (Pomijam tu koncepcje mniej daleko idące — związków luźniejszych, względnie dwu federacji: północnej, głównie katolickiej i południowej, głównie prawosławnej).

Bez opanowania międzymorza nie można panować nad Europą. Toteż na tym właśnie terenie zaczęły się obie wojny światowe, których symbolami stały się Sarajewo i Gdansk. Ale tylko symbolami, zresztą najniebezpieczniejszymi, celowo przez władców wprawiając obu wojen nadużywanymi. Międzymorze smutną ma sławę u przeciętnego Europejczyka, czy Amerykanina, właśnie jako teren niespokojnych namiętnych narodów, od których zawsze zaczynają się wojny.

Chwilę zastanowienia wystarczy, by z

łatwością zauważyć, że za wywołanie obu wojennych kataklizmów, jak również licznych wojen w przeszłości, odpowiedzialne były i są wielkie mocarstwa, pragnące realizować swe imperialne cele, przez opanowanie całego międzymorza. Oba zaborce imperializmy, germański i rosyjski, przez opanowanie międzymorza dążyły i dążą do opanowania Europy, wykorzystując dla swych zabobnych celów konflikty lokalne, wygrywając narody międzymorza przeciwko sobie.

Jedynym logicznym wnioskiem z tego stanu rzeczy jest stwierdzenie, że międzymorze — teren ustawicznych starć i ekspansji obu zabobnych imperializmów — powinno być wyjęte spod wpływu zarówno Rosji, jak i Niemiec.

Międzymorze powinno stać się własnym, działającym narodom je zamieszkującym, nym, by móc się oprzeć atakom imperializmu zachodniego jak i wschodniego. Tego wymaga interes narodów międzymorza, lecz jest to również warunek niezbędny dla utrzymania światowego pokoju.

Jakakośkolwiek linia podziału interesów rosyjskich i niemieckich na międzymorzu stała się zawsze, prędzej czy później, linią frontu. Oba imperializmy bowiem, nieznalazło się według decyzji konferencji herasńskiej w sowieckiej sferze wpływu

z sobą współpracować, jak długo wspólnie oddzielające je międzymorze. Dalsze podadzą sobie ręce, gdy idzie o opanowanie międzymorza, czego klasycznym przykładem są wszystkie cztery rozbiory. Kiedy jednak uzyskują linię graniczną, nie rzucają się na siebie, nigdy nie chcą, zawsze żądne podboju, zawsze w roku 1914, tak w roku 1941.

W pierwszej, jak ją dziś już nazwano ideologicznej fazie obecnej wojny, obozie walczącym przeciwko niemieckim imperializmowi były tylko same niemieckie rzeszelnie miłujące pokój, gdy nie było nim Rosji Sowieckiej, idea organizująca rodów międzymorza w jedno potężne państwo państwo związkowe była idealną i palarną w tym obozie. Premier Wielkiej Brytanii mówił przychylnie o idei federacji jeszcze nawet w roku 1943.

Zwycięstwa sowieckie, sprytna polityka Moskwy i krótkowzroczność, tak w polityce zachłannemu międzynarodowemu kapitalizmowi, łudzącemu się rynkami z wielkich obszarach nawet w Rosji Sowieckiej, doprowadziły do tryumfu koncepcji podziału Europy na sfery wpływów międzymorze poza greckim przyzwyczajonym dostępu do Kanaju Sueskiego znalazło się według decyzji konferencji herasńskiej w sowieckiej sferze wpływu

a dziś kończy się już wojskowa okupacja terenów państw międzymorza, które na miejsce dwu — otrzymują jednego okupanta.

Zdawałoby się, że w takiej sytuacji mówienie o międzymorzu jest conajmniej anachronizmem. Nic bardziej fałszywego!

Zapewne dziś wszystkie narody międzymorza widzą i żałują, że zmarnowały dwa dziesiątki lat pomiędzy obu światowymi wojnami, kiedy, upojone wolnością własną i budowaniem odradzającego się życia, nie potrafiły zorganizować się w większy, zdolny do obrony organizm. Nie można zamknąć oczu na fakt, że w latach wojny nie zdobyła się Europa, a w szczególności międzymorze na jedno się Niemcom do białości rozpalić nienawiść pomiędzy Chorwatami i Serbami, czy wykorzystać pewne grupy Ukraińców przeciwko Polakom.

Lecz to wszystko tylko tym bardziej nakazuje nam z idei międzymorza uczynić swój sztandar i przedmiot upartych, nieustrudzonych wysiłków.

Tak samo, jak żadna linia podziału nie zaspokołała w przeszłości ani żądań rosyjskich ani niemieckich, tak samo dziś oddanie jednemu mocarstwu całego międzymorza, jako jego sfery bezpośrednich wpływów, nie zaspokoła jego imperialnych, coraz dalszych ambicji. Imperializm ten nie zatrzyma się na granicy zachodniej międzymorza. W jego wewnętrznej potrzebie i konieczności sięgania coraz dalej — tkwi jego nieunikniony koniec.

Nie sposób przewidywać dziś, co i kiedy zatrzyma pochód nowego imperializmu. Można dość pobłażliwie traktować nadzieje związane z głębszymi nadziejami na wewnętrzne przemiany w Z.S.R.R. Można żywić obawy, że azjatycka Rosja nigdy nie potrafi zrozumieć, że ona po prostu nie potrzebuje zdobyczy w Europie, że prawdziwe zagospodarowanie ogromnych rosyjskich przestrzeni i podniesienie poziomu życia sowieckiego obywatela do standardu chociażby Łotysza, to coś znacznie więcej niż ściąganie dziesiątka republik bałtyckich na poziom Kazachstanu. Można powątpiewać w skuteczność presji gospodarczej na wycieńczony wojną organizm państwowe. Ale nie sposób wyobrazić sobie, by wchłonięcie 100 milionów mieszkańców międzymorza odbyło się tak gładko, jak spóżyte sutego obiadu; nie można lekceważyć pozycją wspólną doli, niezawodnie kształtującego się w warunkach i ciężkich doświadczeniach jednolitej okupacji.

Tragicznym natomiast może się stać brak idei, która by mogła przyswiecać wszystkim narodom międzymorza w nadchodzącym okresie, może całych lat nawet, ciemności. Za zgłoszenie i podtrzymanie tej idei szczególnie odpowiedzialność spada na tych, których dola wyrwała z własnej ziemi, lecz równocześnie dała im warunki, z których wykorzystywanie trzeba się będzie kiedyś przed własnym, na ojczyźnie cierpiącym narodem wyliczyć.

Dlatego warto dziś w kilku zdaniach chociażby przypomnieć zasadnicze elementy koncepcji międzymorza, by je sobie dokładniej przemyśleć, przyswoić i chociażby zjednywać dla nich uznanie, zarówno wśród swoich, jak i obcych.

Obszar międzymorza z jego 120 milionami ludności stał się w razie uzyskania jednolitej dostateczny obszar strategiczny dla obrony egzystencji narodów międzymorza przed atakami ze wschodu i zachodu.



Gniezno - Katedra

Historia nauczyła nas, że żaden z krajów międzymorza nie może znaleźć ani we wschodnim, ani w zachodnim sąsiedzie oparcia, nawet gospodarczego, bo i ono staje się jedynie aktem wstępnym do ekspansji politycznej. Natomiast kraje międzymorza chętnie powitają współpracę gospodarczą, łącznie z daleko posuniętymi inwestycjami ze strony państw anglosaskich, a połączone w jedno państwo związkowe, lub nawet luźniejszy związek, mogą stać się ośrodkiem bezpieczeństwa w Europie bez imperializmu.

Obszar międzymorza jest obszarem dużych bogactw, dalekich od pełnego wykorzystania. Polski węgiel, żelazo, ropa naftowa, miedź i bauksyt jugosłowiański i węgierski, poważne pokłady soli potasowych, dobrze zapoczątkowany przemysł, bogactwo górskiej niewykorzystanej energii wodnej, zapewniają temu obszarowi możliwości poważnego rozwoju gospodarczego.

Wszystkie kraje międzymorza, poza Czechosłowacją, posiadają ponad 50% ludności rolniczej, większość obszaru posiada ponad 60% ludności pracującej na roli. Równocześnie są to jednak kraje o najniższej w Europie produkcji rolnej z hektara i bardzo niedostatecznie rozwiniętej gospodarki hodowlanej. Kraje te dysponują ogromną rezerwą nie wykorzystanych sił roboczych. Rozsądnie pokierowane upr-

miślowienie — z wykorzystaniem centralnych wspólnych górskich źródeł energii przy zatrudnianiu przez nowoczesny przemysł znacznie mniejszej ilości robotników niż dawniej — może jednak dać nie tylko poważny rozwój ekonomiczny międzymorza. Nadal pozostanie masa ludności wiejskiej, nie wciągniętej w nowoczesną, jakże często krzywdzącą człowieka przemysłową maszynę. Masa ta osadzona na własnych, wysoce produktywnych gospodarstwach rolnych, czy małych warsztatach wytwórczych, może stać się podstawą nowego społeczeństwa, nie znającego nowoczesnego niewolnictwa, czerpiącego z pracy nie tylko środki dla utrzymania się przy życiu, ale i radość życia. (patrz: „Orzeł Biały” nr. 15. r. 1944 — artykuł Orawskiego).

W ten sposób może międzymorze stać się jeszcze bardziej zespólną jednostką kulturalną, choć nawet bez tych, wybiegających w przyszłość, panów. Pomimo podziału głównie na rzymsko katolików i prawosławnych, stanowią dziś już narody międzymorza dość ściśle zachodnio-europejską wspólnotę kulturalną, pełną oczywiście narodowych odrębności, jednak zagrożoną pseudosocjalistycznym „zglajchsztaltowaniem”.

Długa lista spraw spornych pomiędzy narodami międzymorza sprowadza się głów-

nie do zatargów o tereny narodowościowo mieszanane. Wszystkie te zatargi błędna jednak wobec widna likwidacji i zupełnego okaleczenia wszystkich narodów między morza, jakie nad nim zawisło. Niemniej ponieważ napięcie uczuć narodowych wcale się nie zmniejsza, należy się poważnie liczyć z przeszkodami, wynikającymi z kwestii terenów narodowościowych mieszanych. Nie mogąc wchodzić w ramach krótkiego artykułu w szczegóły nasuwających się koncepcji rozwiązania tego zagadnienia, pragniemy zwrócić uwagę jedynie na dwa momenty. Pamiętając, że zasadnicze znaczenie będą miały procesy, które zajądą na naszych ziemiach ojczystych, nie powinniśmy lekceważyć znaczenia i nie wykorzystywać możliwości każdej nadarzającej się okazji zbliżenia z obywatelami państw między morza i ich emigracjami rozrzuconymi dziś po całym świecie.

Wściekłość, z jaką prasa komunistyczna na p. w Ameryce atakuje Ukraińców za „intrygi z Polakami”, powinna być dla nas tylko gorącą zachętą dla poczynań tego rodzaju.

Jako praktyczną zasadę na dziś możemy jednak postawić tylko zasadę powrotu do państw między morza, co między innymi znacznie upraszcza prawną stronę zagadnienia. Wyzbycie się ciasnego szowinizmu — warunek przedwstępny do wszelkich poczynań federacyjnych — pelen najwyż-

szego szacunku stosunek do każdego członka naszej między morską rodziny już dziś mogą stać się poważnym zadaniem na wspólną lepszą przyszłość.

Gdy popatrzymy na mapę między morza nie sposób zauważyć, że największym jego miejscem jest Polska, jedyny kraj między morza, posiadający granicę zarówno z Niemcami jak i Rosją. Polska w granicach 1939 roku, to właśnie przez obcą przemoc i „wewnętrzną waść polsko-ruską” okrojona reszta ziem jagiellońskiej polsko-łitewsko-ruskiej federacji. Jest to i dziś najbardziej narażony na ataki kraj między morza, państwo, którego naród ma być przeniesiony na zachód, chyba między innymi i za to, że w roku 1939 nie chciał się przemieszczać na wschód.

Lecz nie ma żadnych podstaw, by nie widzieć, że wytworzona sytuacja kryje niebezpieczeństwa duże tylko dla Polski. Włączenie Polski przemocą do sowieckiej sfery wpływów jest ciężkim doświadczeniem dla naszego narodu. Ale kij ma dwa końce.

Narodowa prasa ukraińska w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych częściowo określiła zajęcie przez wojska sowieckie ziem R. P. zamieszkałych przez ludność ukraińską nie jako wyzwolenie, a jako zmianę okupanta. Ta sama ukraińska prasa rzuciła hasło „Ukraine battleground for Freedom” — Ukraina polem bit-

wy o wolność, a jej czołowe organa wzięły dwuwierszem Szewczenki, „Walciecie, a zwyciężycie”. Kanadyjski ukraiński „Nowy Szlach” pisał: „Chcielibyśmy, aby rzeczywiście naród polski zrozumiał, że tylko niepodległa i silna Ukraina będzie się mogła stać zaporą wobec gwałtów z zachodu i wschodu, a nowojorski komunistyczny „Hromadskij Holos” ostrzeżenie atakuje argentyński ukraiński „Perelom” za „wysuwany plan współpracy z narodami Europy Środkowo-Wschodniej, gdyż może tu chodzić tylko praktycznie o współpracę z Polską i krajami Bałtyckimi, w którym to kierunku stale intrygują Polacy”.

Nie ma powodów nie widzieć, że w pewnych warunkach to największe miejsce między morza, idące na szerokość Polski, może się stać jego miejscem najszerzym podstawą jego potęgi.

Na pytanie dlaczego Między morze — odpowiadamy:

Między morze, bo jest to nasza idea ofensywa w nowym zamachu nie tylko na Polskę, ale na istnienie wszystkich narodów Europy Środkowo-Wschodniej, Między morze, bo jest to koncepcja, której realizacja może zapewnić nam istnienie i lepszą dolę w przyszłości!

J. N.

...Každy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic.
O ile polepszyte i powiększyte duszę waszą, o tyle polepszyte prawa wasze i powiększyte granice.
Adam Mickiewicz (z Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego)

POMIĘDZY SIŁĄ I SŁUSZNOŚCIĄ

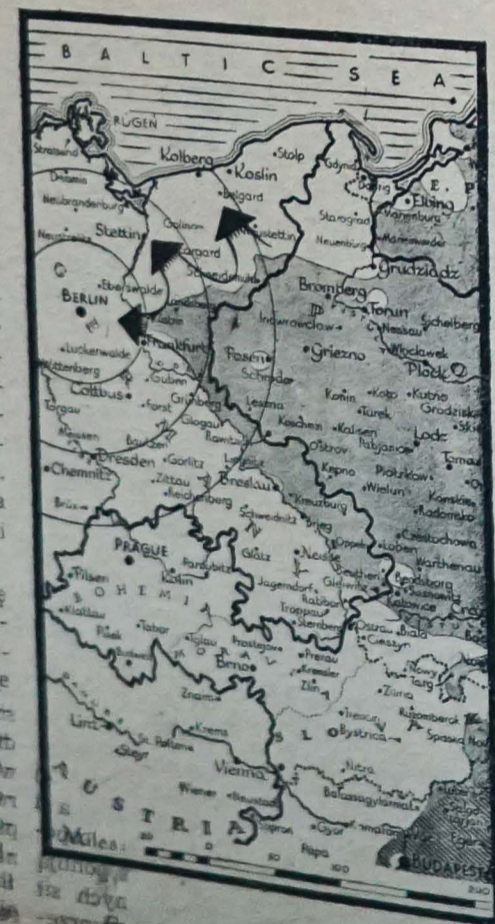
(miesięczny przegląd wydarzeń)

Nad Odrą i Renem

Rozpoczęta przez armie sowieckie 12 stycznia ofensywa na froncie wschodnim doprowadziła do zajęcia całej Polski przez wojska sowieckie. W pierwszym tygodniu ofensywy wojska sowieckie posuwały się częściowo z szybkością do 30 kilometrów w ciągu doby robiąc 125 mil w ciągu tygodnia. Armie Kowniewa i Żukowa w dwa tygodnie wypełniły kraj pomiędzy górą i średnią Wisłą a górą Odrą i Wartą. W drugim etapie pierwszej fazy ofensywy nie udało się wojskom sowieckim otoczyć większej grupy wojsk niemieckich. Niemcy przeprowadzili przed ewakuacją ludności niemieckiej w ostatnich niemal godzinach, wyskutek, że część ludności ta przesłała w kierunku południowym, ale znaczna część została wzięta do niewoli, jak n.p. Ostrówiec, w tym czasie z Moskwy n.p. wyjechały pociągi z bronią maszynową. Na czas uprzywilejowany dla Niemców z terenu Polski liczący obywateli i wojowników.

na terenie Polski miasta uciertały naogół nieznacznie; odnosi się to w szczególności do Krakowa i Łodzi.

Po upływie dwu tygodni Niemcy oparli



Front wschodni (3. luty b. r.)

swą obronę o dwa wielkie miasta. Nie mógł pierwszy w tej wojnie ma to miejsce i zapewne nie po raz ostatni. Wrocław, Poznań nad Odrą i Wartą miały stanowić zaporę na drodze wojsk sowieckich. Wrocław, gdy piszemy te słowa, jest nadal centrum niemieckiego oporu nad górną Odrą. Garnizon niemiecki w Poznaniu stał otoczony, ale broni się nadal.

Równocześnie wojska sowieckie, dowodzone przez Czerniakowskiego, uderzyły frontalnie na Prusy Wschodnie od strony przyczółek w Kłajpedzie, ale przede wszystkim wojska Rokosowskiego odcięły Prusy, wychodząc na brzeg Bałtyku w ujściu prawej odnogi Wisły. Szeroko rozreklamowana forteca pruska, opierająca się o system jezior i błot mazurskich, stopniowo dzwiniła się w rejonie Królewca.

Dalsze działania ofensywne armii sowieckich oddały w ich ręce cały teren między Wisłą a Odrą z wyjątkiem pasu pomorskiego. Niemcom przysłał sukurs odwilż, która zamieniła go w trudne do sforsowania trzęsawisko. Niemiecka obrona nad dolnym biegiem Odry na wysokości Frankfurtu i Kostrzyna może dla obrony ostatnich 50 do 60 kilometrowego pasa, dzielącego wojska sowieckie od Berlina, wykorzystywać nie tylko jednak związane ze zmianą pogody przeszkody naturalne, ale przede wszystkim rozbudowany w tym rejonie jakoby, pas fortyfikacji. Z jednej strony

propaganda niemiecka nie szczędzi zapewnień, że „będziemy się bronili przed Berlinem, w Berlinie i za Berlinem”. Berlin, którego ludność na skutek nagromadzenia się w nim uchodźców wzrosła z 4,5 do 6 milionów, ma być, według niemieckich oświadczeń, niemieckim Stalingradem.

Wojska sowieckie z kolei na znacznej bo 80 kilometrowej przestrzeni sforsowały Odrę pomiędzy Wrocławiem a Opolem.

Na 450 kilometrowym froncie stanęły naprzeciw siebie armie niemiecka i sowiecka na terytorium trzeciej Rzeszy.

Co dalej?

Obliczają, że 23 miliony Niemców jest już bez dachu nad głową. A jednak na froncie zachodnim wojska amerykańskie muszą z najwyższym wysiłkiem zdobywać fort po forcie w linii Zygryda.

Na co liczy sztab niemiecki? Dotychczas w czasie odwrotu na wschód nie stracił on zbyt wiele rezerw. Źródła moskiewskie oceniały n.p. liczbę jeńców wojennych w dwu pierwszych tygodniach ofensywy kiedy to postępy sowieckie były najbardziej gwałtowne — na 85.000.

Czy Niemcy zamierzają wycofać się w góry na południe i pozwolić wojskom zachodnim aliantów i Rosji sowieckiej spotkać się nad Renem? Perspektywa konfliktu pomiędzy sprzymierzonymi jest znacznie większa, gdy armia sowiecka dojdzie do Renu, niż gdyby miała się spotkać z armiami, brytyjską i amerykańską, nad Łabą. Nie wiemy, czy takie plany zrodziły się w głowach niemieckich nihilistów. Wiemy natomiast, że jadąca na 334.000 wozach, dostarczonych jej przez przemysł amerykański, armia czerwona — jedzie dość szybko w kierunku co najmniej Łaby, a zacieklej obrony Renu nie sposób porównać z obroną Odry.

Równocześnie lotnictwo anglosaskie nadal bombarduje Berlin, znakomicie zmniejszając nie tylko ilość ciałych kamienic ale i żywych mieszkańców niemieckiej stolicy, a mimo to, nie pojawiają się nigdy nad Berlinem 900 samolotów niemieckich jak miało to miejsce w czasie ofensywy Rundstedta na zachodzie.

Na froncie zachodnim, po zlikwidowaniu ofensywy Rundstedta, porachowano straty niemieckie od dnia lądowania Anglosasów na francuskim wybrzeżu. Od tego dnia oddali Niemcy na zachodzie 860.000 jeńców, a sumaryczne straty wyniosły 1.250.000, z czego za ostatnią ofensywę zapłacili 200 tysiącami.

1 i 3 armie amerykańskie na szerokich odcinkach łamią linię Zygryda, grożąc właniem się na równinę Kolonii. Każda przeszkoda rzeczna, czy to Our, czy Sauer, czy sztuczne kanały wespół z bunkrami linii Zygryda — są broniące przez Niemców z ogromną zaciekleścią, przyczym nie oddziały Volksturm, a sfanatyzowana 16, 17 letnia młodzież hitlerowska główną odgrywa rolę.

Droga do Chin otwarta, Manilla zdobyta...

Na dalekim wschodzie imperium japońskie otrzymało dwa potężne ciosy w ubiegłym miesiącu.

W wyniku szeregu operacji wojsk brytyjskich, chińskich i amerykańskich, na froncie birmańskim przerwana została lądowa blokada Chin.



Artyleria „Kresowej”, na stanowisku

Droga z Ledo została uwolniona od wojsk japońskich. Łączy się ona z Namkek ze starą drogą burmańską i w ten sposób obecnie mogą iść dostawy amerykańskie do Chin, również drogą lądową, podczas gdy dotychczas jedyne zaopatrzenie Chin z zewnątrz stanowiły dostawy przekazywane drogą powietrzną, nie przekraczające z reguły 20-80 tysięcy ton miesięcznie. Nowo otwartą drogą już ruszyły konwoje amerykańskie do Chin. Czy przyjedzie wraz z nimi nie tylko pomoc materialna, wojskowa, ale i wzmocnienie wpływów amerykańskich w Chinach i wzmocnienie pozycji Czang-Kai-Szeka, czy też zostaną one tylko zdyskontowane przez idące z północy Chin armie komunistyczne, które zapewne, jak w Polsce P.P.R., kiedy ogłoszą się jedynymi zbawcami ojczyzny — przysięgą okazać. Skutki perskich konwoi powinny być rozważane wszechstronnie.

Wojska 14 armii uderzają obecnie na Mandalay, a inne zajęły wyspę Akyab. Istotne jednak postępy na Dalekim Wschodzie przypadły w udziale 6 i 8 armiom amerykańskim na głównej wyspie archipelagu Filipin. W miesiąc po lądowaniu, zajęły wojska amerykańskie Manillę, stolicę Filipin, wspierając naturalny port. Straty japońskie dochodzą już 100 tysięcy, a opór japoński, choć podsypany fanatyczną propagandą, jest znacznie słabszy niż się spodziewano. Z Manilli do Tokio zostało 1860 mil, z wyspy Guam, zajętej przez Amerykan i za-

mienionej w bazę dla super fortec, atakujących Tokio w linii prostej, zostało 1408 mil. Atrakcyjność baz rosyjskich na Dalekim Wschodzie zmniejsza się. Nie brak pogłosek, że na konferencji trzech przedmiotem obrad ma być również udział Rosji w wojnie przeciwko Japonii.

Czarnomorska konferencja

Wielka trójka raz jeszcze zebrała się w miejscu możliwie najwygodniejszym dla Stalina, żywiącego powszechnie znany wstręt do podróży poza tereny możliwie bezpośrednio strzeżone przez N.K.W.D.

Powtórzyły się te same pogłoski, które towarzyszyły przed rokiem konferencji teherańskiej. Czarnomorska konferencja równie czarna jak teherańska zdaje się dla małych narodów zwiastować uchwały. Stalin występuje na niej jako zwycięski wódz ostatniej ofensywy, z komitetem wolnych Niemców w zanadrzu. Świadoma i nieświadoma propaganda prosowiecka dość umiejętnie przysłała fakt, że strata przez Niemców 110 dywizyj na zachodzie w tym roku wcale nie ustępuje stratom niemieckim na froncie wschodnim, że pancerny sowieckich czołgów i szyny kładzione przez ludność na terenach zdobywanych przez wojska sowieckie pochodzą z 2.120.000 ton stali dostarczonych przez Stany Zjednoczone, a amerykańskie



Żołnierze w białych strojach ochronnych (Fot. Chrućiel)

osiągnięcia na Dalekim Wschodzie wcale nie ustępują sowieckiemu blitzowi na opuszczonych przez Niemców równinach zachodniej Polski.

Były jednak i poważne różnice pomiędzy konferencją czarnomorską a teherańską. Oto nie zaproszony do udziału w konferencji de Gaulle poprostu oświadczył, że „Francja nie będzie się czuła związana żadnymi międzynarodowymi, lub międzysojuszniczymi układami, w których nie będzie miała równego głosu z innymi państwami. Francja nie uzna więc uchwał jej dotyczących, a powziętych bez jej zgody”. Na wiele tygodni przed tym oświadczył to samo w imieniu rządu polskiego premier Arciszewski Narody Europy, przynajmniej te, których rządy nie skapitulowały, na wzór rządu p. Benesza, przed Moskwą, upominają się więc głośno i odważnie o prawa własne i prawa Europy.

Więcej, gen. de Gaulle, poza żądaniem okupacji przez wojska francuskie obu brzołów Reno, wysunął żądanie „niepodległości dla Polski, Austrii, Czechosłowacji i państw bałkańskich”. Należy mieć nadzieję, że jest to ze strony Francji nie tylko wynik rożgoryczenia z powodu afrontu niedopuszczenia jej do udziału w obradach wielkiej trójki, ale nawet do jedynej polityki, mogącej zabezpieczyć w Europie pokój i egzystencję nie tylko wymienionych państw, ale i samej Francji, polityki oparcia się Francji o tzw. małe narody Europy. Chciałoby się uwierzyć, że przez słowo niepodległość nie rozumie też gen. de Gaulle sowieckiego wariantu tego pojęcia, według którego wprowadzenie jednolitej okupacji nazywa się niepodległością.

Lecz przeciwko dalszemu brnięciu po linii polityki dzielenia świata na sfery wpływu i ciągłych ustępstw na rzecz sowieckiego totalizmu padły ważne głosy nie tylko ze strony zagrożonych „małych” narodów. Ze strony waleń powaźniejszych polityków amerykańskich usłyszeliśmy zapewnienia, że Ameryka nie jest zadowolona z podziału Europy na brytyjską i rosyjską sferę wpływów, że prezydent Roosevelt nie jest skrypowany żadnymi zobowiązaniami teherańskimi w sprawie podziału Europy, że polityce amerykańskiej w

szczególności nie odpowiada polityka Wielkiej Brytanii w Grecji i Włoszech, a Rosji Sowieckiej w Polsce. Karta Atlantycka wróciła na łamy dzienników, senator Vanderburg, dotychczas izolacjonista, w pełni poparł udział Ameryki w zbrojnym gwarantowaniu pokoju, ale równocześnie podkreślił: „nie może być pokoju bez sprawiedliwości”. I dalej: — „Mówię o Kartie Atlantyckiej... Jakiż to jest powód dla nowego rozbioru Polski?... Własny interes Ameryki polega na zapobieżeniu odrodzeniu się groźby agresji osi przez popchnięcie Europy w kolejną erę oddzielnych sojuszków”... Jest to nowy język amerykańskich senatorów.

Konferencja trzech może raz jeszcze pogwałcić budzące się sumienie świata, może raz jeszcze próbować narzucić światu dyktat niezgody z zasadami, nie przez kogo innego jak przez Roosevelta postawionych, czterech wolności, ale w opinii świata już rozpoczął się bardzo szeroko zakrojony ruch przeciwko poddawaniu się sugestiom wschodnich patentowanych obrońców wolności.

Natomiast nie ulega wątpliwości, że wszystkie trzy wielkie mocarstwa uznały zgodnie, że mają narazie wspólny interes w biciu Niemiec. Toteż pierwsze komunikaty z konferencji trzech mówią o osiągniętym porozumieniu w sprawach wojskowych. „Osiągnięto pełne porozumienie w sprawie połączonych operacji w ostatniej fazie wojny przeciwko hitlerowskiemu Niemcom”. Poraz pierwsze Rosja Sowiecka zgodziła się na wspólny wojskowy sztab, koordynujące wysiłki trzech sztabów. Widocznie nie jest zbyt samo wystarczająca! Podobno, według doniesień amerykańskich, dowództwo sowieckie odczuwa szczególnie potrzebę koordynacji działań anglosaskiego lotnictwa armij lądowych. A dotąd było inaczej. Od dawna dajmy glos „bardziej obiektywnym” od Polaków, Amerykanom ze „Stars and Stripes”. Dotychczas, zgodnie z doniesieniami z Waszyngtonu, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania prowadziły wspólnie operacje wojenne. Rosjanie prowadzili swoje operacje samodzielnie, chociaż współpracowali z ich mówiącymi po angielsku aliantami.

Z kolei przedmiotem obrad miały być sprawy niemieckie. Podobno istnieje nadzieja na utworzenie wspólnej komisji alianckiej dla administracji Niemiec i klęsce. Ale równocześnie niektóre pisma zapytują nieśmiało, czy też wolno będzie pojechać korespondentom amerykańskim do Berlina?

Cytując Anglosasów — „bardziej sporne sprawy, jak przyszłość Polski, sytuacja na Bałkanach i ostateczne uregulowanie sprawy Niemiec, odłożono do drugiej części konferencji”.

Dola niemieckich generałów i Polskiej Armii Krajowej

A sprawy to nie łatwe i nie wierzymy w żadne ich trwałe rozwiązanie, dopóki istnieją tak nieprawdopodobne warunki polityczne i moralne w Europie, w których główni winowajcy tej wojny, niemieccy generałowie, są traktowani z najwyższymi honorami, a żołnierze najbardziej bezkompromisowi w walce o wolność własną i świata — żołnierze Polskiej Armii Krajowej — są ścigani jako przestępcy.

W miarę, jak armie sowieckie wchodzi coraz bardziej w głąb Niemiec, propaganda sowiecka wzmożyła reklamę dokonała komitetu wolnych Niemców, i ustawicznie podkreśla, że walczy nie z narodem niemieckim, a z hitleryzmem. Przez radiomoskiewskie przemawiają niemieccy generałowie, na czele ich stoi w Rosji, jak wiadomo, von Paulus. Kiedy Rosja zdecydowała się ogłosić ten komitet rządem niemieckim — nie wiemy.

Natomiast wiemy, że równocześnie na polskiej ziemi przekształcony w tzw. rząd prowizoryczny komitet lubelski rozpoczęła z pomocą N. K. W. D. masakrę wszystkich tych, którzy brali udział w walkach Armii Krajowej. Podniósł się przeciwko temu głos protestu na całym świecie, ale deportacje nie ustają, a ilu padło, jak tamci w Katyniu, nie wiemy.

Prezydent R. P. musiał rozwiązać oddziały Armii Krajowej. Jej żołnierze muszą pójść w rozproszenie, nie zamiast stanąć w szeregach wojska polskiego. A nie wiemy, że równocześnie na konferencji trzech padła mówka o tym, że problem polski właściwie nie istnieje, cała Polska już przecie... wyzwolona.

Przypadek Polski nie jest odosobniony. Przyjeżdżający z Jugosławii korespondenci, częstokroć wydalani, opowiadają, że ludzie znikają za... rozmowę z zagranicą nym korespondentem.

W tym samym czasie, gdy namiętne sprawy polityczne — nie wchodzimy tu w meritum — obalają rządy w Belgii, w Holandii, w Bułgarii czynniki sowieckie wyrażają zadowolenie z wynalezionych marionetek. Oto w Sofii odbyły się pierwsze monstrprocesy. Przed trybunałem postawiono 400 polityków, członków regencji. Rozstrzelano 150. Nie bronili szystów. Polacy mają prawo po prostu mówić o faszyzmie, bo pierwszy stanął w rozprawie zbrojnej z faszyzmem i to dla nas legitymacja dostateczna.

Ale, za cóż to rozstrzelano bułgarskich polityków? Czytamy w amerykańskim podpiśniku: „zostali oskarżeni o zbrodnicze podpisanie paktu trzech, (zapewne chodzi o przystąpienie do paktu trzech), wywołanie armie bułgarskiej przeciwko Jugosławii i Grecji, wypowiedzieli wojnę Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym, postawili

wiali praw naród bułgarski i wprowadzili ustawy antysemitki w życie”.

Pytamy — a któż będzie rozstrzeliwał tych, którzy podpisali pakt Ribbentrop — Stalin, tych, którzy wysłali armię przeciwko walczącej z Niemcami Polsce, tych, którzy we wspólnej deklaracji z Niemcami oskarżali Wielką Brytanię o odpowiedzialność za wywołanie drugiej wojny imperialistycznej, tych, którzy pozbawili elementarnych praw nie 6 milionów Bułgarów, a 175,000,000 ludzi.

Hańba albo chwała

To pytanie, które przed rządem polskim przed wielu miesiącami postawił Ignacy Matuszewski, stoi dziś już coraz wyrazściej przed całym światem. Albo hańba kompromisu ze złem, albo chwała zwycięstwa prawdziwych wartości, prawdziwej wolności i prawdy. Rząd polski Tomasa Arciszewskiego, powołany za wolą Kraju, wybrał trudną ale jedyną drogę chwały.

Nie lękamy się prawdy, która jest całkowicie po naszej stronie. To też rząd premiera Arciszewskiego zaproponował jako wyjście dla rozwiązania konfliktu polsko-sowieckiego rządu mieszanej komisji alianckiej w Polsce, do czasu, gdy po powrocie rozrzuconego po całym świecie narodu polskiego na swą ziemię, naród ten w warunkach wolności, zapewnionej mu przez nadzór czynników międzynarodowych, będzie mógł wypowiedzieć swą ostateczną wolę. Wiemy, że niema dziś szans na realizację tego umiarkowanego rozwiązania. Toteż tym większy obowiązek zachowania polskiego sztanu walki o niepodległość, całość i suwerenność, jak również prawnej podstawy naszego państwowego bytu spada dziś na nas, którzy znaleźliśmy się poza zasięgiem sowieckiej okupacji, a szczególnie brzemię spada na nas — wojsko, walczące poza granicami państwa polskiego, a po rozwiązaniu Armii Krajowej, stanowiące jedyne siły zbrojne państwa polskiego. Dziś, gdy cały nasz naród w Kraju nie będzie mógł dawać praktycznie żadnego wyrazu swej politycznej woli, a uwaga jego będzie musiała się skupić na fizycznej vegetacji, na nas spada najwyższa odpowiedzialność przechowywania i przetrwania może przez całe lata próby, polskiej tradycji państwowej i kontynuowania walki zbrojnej narodu polskiego.

Sytuacja jest ciężka, ale przeraźliwie jasna. Po tamtej stronie wola Moskwy, ubierana w szaty najprzeróżniejsze, po drugiej stronie legalny i prawowity rząd polski, siły zbrojne państwa polskiego — Państwo Polskie.

Dlatego też w tej godzinie próby nie ma wśród nas miejsca na małoduszność, a tym bardziej na zdradę. Niestety, jeśli wierzyć sugestiom „specjalnego korespondenta” „Observera”, znaleźli się Polacy, którzy mieli jakoby opracować i podsunąć na obrady Wielkiej Trójki do rozważania trzecie wyjście — nowy projekt likwidacji państwa polskiego. Według tego projektu „Prezydent Raczkiewicz miałby przekazać uprawnienia radzie regencyjnej w składzie: arcybiskup Sapieha, Wincenty Witos, Bierut... Grupa Mikołajczyka w razie akceptowania tego projektu odgrywałaby w jego zastosowaniu decydującą rolę”. Równocześnie prof Stanisław Grabski, niedawno zmuszony do ustąpienia ze stanowiska

przewodniczącego Rady Narodowej, wydał broszurę „Nil Desperandum”. „Idea przewodnią jest przesunięcie środka ciężkości Polski na zachód — Polska jednolita narodowo — przyjęcie linii Curzona z pozostawieniem Lwowa przy Polsce, na zachodzie Odra... ścisła współpraca z Rosją w... ramach słowiańskiej wspólnoty”.

Londyński „Dziennik Żołnierza” w artykule, wyrażającym opinię rządu polskiego, napiętnował projektodawców, nazywając ich graczami. Lecz mówmy językiem prostym. Wspomniany projekt oznacza sugerowanie obcym mocarstwom usunięcia głowy państwa, zmiany ustroju.

Gdyby u nas w Korpusie znalazł się ktoś, kto by poszedł do dowództwa 8 armii i zaproponował taką zmianę struktury Korpusu, która dawała by 8 armii wiele korzyści, ale pozbawiła nasz Korpus jednolitości i odbierała mu charakter niezależnego wojska polskiego, gdyby znalazł się najniższy stopniem ktoś, kto by zaproponował zastąpienie dowódcy Korpusu tryumwiratem biskupa Gawliny, ambasadora Papee i... Rolli Żymirskiego, nie długo zastanawiałby się sąd polowy nad wyrokiem. A tu, jeżeli wysunięty projekt pochodzi z kół polskich, Polak miałby proponować usunięcie Prezydenta R. P., pozbawienie nas tego, co jest naszym ostatnim sztańcem — prawnej ciągłości i legalności?!

Tacy ludzie nie nazywaliby się „graczami”. Byliby winni zdrady stanu.

„I nie ustaniem w walce, siłę słuszności mamy i mocą tej słuszności wytrwamy i przetrwamy” — takie hasło na swych sztandarach wypisał Związek Polaków w Niemczech. Oddaje ono doskonale nasze dzisiejsze położenie i zadanie. Lecz tej słuszności nie wolno nam uronić.

Nie tylko słuszność mamy za sobą. Sprawa Polski jest nadal probierzem w wielkiej rozgrywce, w której stawką jest Europa i Świat. Gdy wytrwamy przy sztandarach, pod którymi we wrześniu rozpoczęliśmy bój, możemy mieć wielką szansę, że jutro będziemy chorążymi świata.

Już dziś po stronie polskiej sprawy stanął nieomal cały świadomy świat katolicki.



Przed wyruszeniem na patrol

ckci. Ostatni atak „Czerwonej Gwiazdy” na papieża, zbiegający się w czasie z pierwszym atakiem „Prawdy” na „Orzeł Biały”, zasługuje na wzmiankę właśnie w tym miejscu naszych miesięcznych rozważań: „Czerwona Gwiazda” atakuje Papieża jako szermierza „miękkiego pokoju” i zapowiada, że Z. S. R. R. przeciwstawi się wpływowi Watykanu w Niemczech, Austrii, Węgrzech i w Polsce. Sowiecki dziennik pisze: „Antysowiecka kampania Watykanu w sprawie Polski jest rozprowadzana przez prasę katolicką w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. A Watykańska polityka we Włoszech jest tylko precedensem dla rozciągnięcia jej na Niemcy, Austrię, Węgry i Polskę”. A dalej — według sowieckiej propagandy — „Papież ma wystąpić z własnym projektem pokoju, do Papieża wstępował po drodze na konferencję trzech p. Hopkins, osobisty współpracownik Roosevelta.

M. p. 12.11, b. r. Jarosław Zaba



Z walk 2 Korpusu we Włoszech. Działo p-panc w akcji

(Fot. Michałski)

W chwili, gdy numer naszego pisma był już na maszynie, przyszła treść oficjalnego komunikatu wielkiej trójki z jej obrad na Krymie, gdzie w pałacu cara Mikołaja II dyktował swe warunki prezydentowi Stanów Zjednoczonych i premierowi dumnego Albionu Józefowi Wisarionowiczowi Stalinowi, niekoronowany car Rosji i wierny kontynuator carskiego rosyjskiego imperializmu.

Przypatrzyliśmy się na chłodno uchwałom konferencji.

Pierwszy ustęp komunikatu stwierdza, że Churchill, Roosevelt i Stalin „rozpatrzyli i określili plany wojenne trzech potęg dla ostatecznego pokonania wspólnego wroga...”

Niemcy są ciągle jeszcze potęgą militarną i to był niezawodnie pierwszy moment, który „jednoczył” wielką trójkę.

Ustalono również „wspólną politykę i plany dla wprowadzenia w życie warunków bezwarunkowej kapitulacji, które zostaną nałożone na Niemcy hitlerowskie...”

„Siły zbrojne trzech mocarstw będą okupować poszczególne tereny Niemiec”, a kierować nimi będzie z Berlina centralna komisja kontrolna złożona z trzech głównodowodzących siłami zbrojnymi mocarstw.

Mocarstwa zamierzają „usunąć lub zniszczyć całe uzbrojenie, wyeliminować, lub rozłożyć kontrolę nad całym niemieckim przemysłem, który może być użyty do produkcji wojennej”.

Niemcy będą musiały wynagrodzić wyrządzone szkody wojenne, a rozmiar i sposób określi komisja aliancka z siedzibą w Moskwie.

Ustęp dotyczący Polski zaczyna się od słów, które zdaniem autorów miały widocznie służyć jako usprawiedliwienie pogwałcenia wszelkich zasad prawa międzynarodowego w stosunku do Polski.

Stwierdza się, że sytuacja w Polsce została zmieniona „w wyniku jej całkowitego wyzwolenia przez armię czerwoną”. W 1939 roku podobnie uzasadniał p. Molotow konieczność wkroczenia wojsk sowieckich do Polski.

Sześć obu potęg anglosaskich nie oszczędziło nam gorzkiej ironii nazwania okupacji całej Polski przez armię czerwoną „całkowitym wyzwoleniem”. Moskale was wyzwolili, możemy umyć ręce — oto gorzka wymowa krymskiego dokumentu.

W całym dokumencie nie ma ani słowa o rządzie polskim w Londynie.

Komunikat Reutera z Moskwy nazywa uchwały konferencji krymskiej „klepsydrami rządu londyńskiego”.

Odpowiadamy. Prawowity rząd polski w Londynie nie jest komitetem lubelskim, czerpiącym swój tytuł do istnienia z moskiewskiego, czy innego obcego pełnomocnictwa. Jego prawną podstawą jest polska konstytucja, polskie prawo, państwo polskie, wola polskiego narodu. Żadna konferencja nie może odebrać podstawy prawnej i moralnej naszemu rządowi.

Do rozszerzonego nowego dziwołagu, który ma powstać w Moskwie pod nazwą „polskiego tymczasowego rządu jedności narodowej”, mają wejść „przewodcy demokratyczni polscy wewnątrz Polski i zagranicą”. Ten sam Reuter w depeszach

zaznacza, że „otwarte są drzwi dla grupy Mikolajczyka”. Na to jeszcze czeka Moskwa. Chce, by i w tej jedynej grupie Polaków, która znajduje się poza zasięgiem N.K.W.D., znaleźli się Polacy, którzyby przez wejście do „tymczasowego rządu jedności narodowej” pomogli w oszukaniu opinii świata, że Polacy do browalnie zgodzili się na krymski dyktat.

Stwierdzamy: ponieważ krymskie uchwały przemilczają istnienie prawowitego rządu polskiego, przechodzą do porządku nad ustrojem państwa polskiego, gwałcą wszystkie uroczyste udzielane Polsce przyrzeczenia odbudowy niepodległego, suwerennego państwa polskiego, a przyjmują w sprawie Polski dyktat sowiecki — żaden Polak nie ma prawa ich respektowania, a tym bardziej wchodzenia w skład powołanego na ich podstawie „rządu jedności narodowej”.

Uchwały krymskie mówią o wyborach i „prawie wystawienia kandydatów przez wszystkie demokratyczne partie polskie”. Jedynym warunkiem prawdziwie wolnych wyborów na ziemiach Polski może być tylko ustanie okupacji sowieckiej, wycofanie wojsk sowieckich z Polski, wycofanie N.K.W.D., z terytorium państwa polskiego. Rząd polski proponował w Polsce rządu tymczasowego międzynarodowej komisji, przy których byłyby możliwe swobodne wybory. Propozycja rządu polskiego została przemilczana. Zamiast tego ma się odbyć w Polsce znana sowiecka maskarada wyborcza. Poco ona, komu jest potrzebna? Jasne, że rząd amerykański i brytyjski pragną w ten sposób zrzucić z siebie winę, zasłonić własną w stosunku do Rosji kapitulację „wołą polskiego narodu”. W takiej sytuacji samo ujawnienie się polskich przewodców politycznych w Kraju przez wystawienie własnych kandydatów nie może być niczym innym, jak tylko przygotowaniem dla N.K.W.D. spisów na pierwszą, czy drugą kolejkę w deportacji na Sybir.

Uznanie linii Curzona jako granicy polskiej na wschodzie z kpiną 5 do 8 kilometrów na korzyść Polski jest pogwałceniem zasad Karty Atlantyckiej.

Nie jest to zmiana graniczna, która obowiązywałaby państwo polskie i z tą zmianą nigdy nie pogodzi się naród polski. Nie poto powiedzieliśmy Niemcom: nie, gdy Moskalom mieli powiedzieć: tak, gdy zabierają całą Polskę pośrednio, a do linii Curzona bezpośrednio, chociażby Moskwa przemawiała nie tylko za pośrednictwem wielkiej trójki, ale nawet, gdyby taki sam wyrok na Polskę wydało trzydziestu szęka trójki.

Lecz uchwały krymskie mają jedną do bramy stronę. Nie może być po nich żadnej wątpliwości, że chodzi tylko o linię Curzona. Widać z nich wyraźnie, że oddaje się Sowiutom na iaskę i nieiaskę całą Polskę, a wraz z nią wszystkie, prócz greckie-

go, narody międzynarodowe.

Odnosnie granic zachodnich projekt w sposób znamienny nie określa ani Odra, ani Prusy Wschodnie, a tylko ogólnikowo mówi o „powiększeniach” terytorium Polski na zachodzie i północy, przy czym de-

cyzję pozostawia konferencji pokojowej

po zakończeniu wojny. Więc by zabrać nie-

omal połowę Polski na rzecz Rosji Sowieckiej do tego wystarczy wola Sowi-

etów i zgoda wielkiej trójki na krymskim letnisku. Do tego, by Polsce przyznać teren wroga, a raczej wchodzący przed wojną w skład głównego wroga, potrzeba konferencji pokojowej. Oto dwie miary, które najlepiej obrazują kryzys moralny obozu narodów zjednoczonych.

Komitet koordynacyjny Polonii amerykańskiej pierwszy niedwuznacznie nazwał uchwały krymskie piątym rozbiorem Polski. Amerykański senator Shipstead powiedział krótko „Polska została zarżnięta”.

Prasa całego anglosaskiego świata naogół z entuzjazmem przyjęła uchwały krymskie, widząc w nich przede wszystkim przyspieszenie końca wojny. Nad sprawą polską naogół przechodzi się do porządku dziennego.

Tu i w odzie pojawiły się pierwsze hipotezy, co też było głównym motorem przyjęcia sowieckiego dyktanda w Jaltie. Włoskie „Quotidiano” podaje wiadomość o wystąpieniu Rosji o pożyczkę 10 miliardów dolarów w zamian za udział Rosji w wojnie przeciwko Japonii.

Zapewne liczenie na udział Rosji w wojnie przeciwko Japonii na Dalekim Wschodzie odegrało poważną rolę w przyjmowaniu krymskiego dyktatu. Przyszłość okaże czy słusznie.

Stoimy dziś przed nową fazą wojny, jeżeli nie tryumfu taktyki nad zasadami, to w każdym razie fazą, w której prawo i zasady moralne ustąpiły miejsca brutalnej sile również w obozie narodów zjednoczonych.

Gdy przed kilku dniami dowódca sił zbrojnych w Kraju powtarzał oddziałom Armii Krajowej rozkaz Prezydenta o jej rozwiązaniu, czytaliśmy w nim:

„W przekonaniu... że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce, by Wam ułatwić dalszą pracę z upoważnienia Pana Prezydenta zwałniam Was z przysięgi żołnierskiej i rozwiązuję szeregi Krajowej Armii...”

„Dalszą swą pracę prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości państwa polskiego i obrony ludności przed zagładą...”

„Starajcie się być przewodnikami narodu i realizatorami niepodległości państwa polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą...”

Sytuacja nas, wojska polskiego poza granicami Kraju, jest inna. Tak, jak inna jest sytuacja obywateli polskich poza zasięgiem władzy N.K.W.D. I inne są od nas wo-

magania.

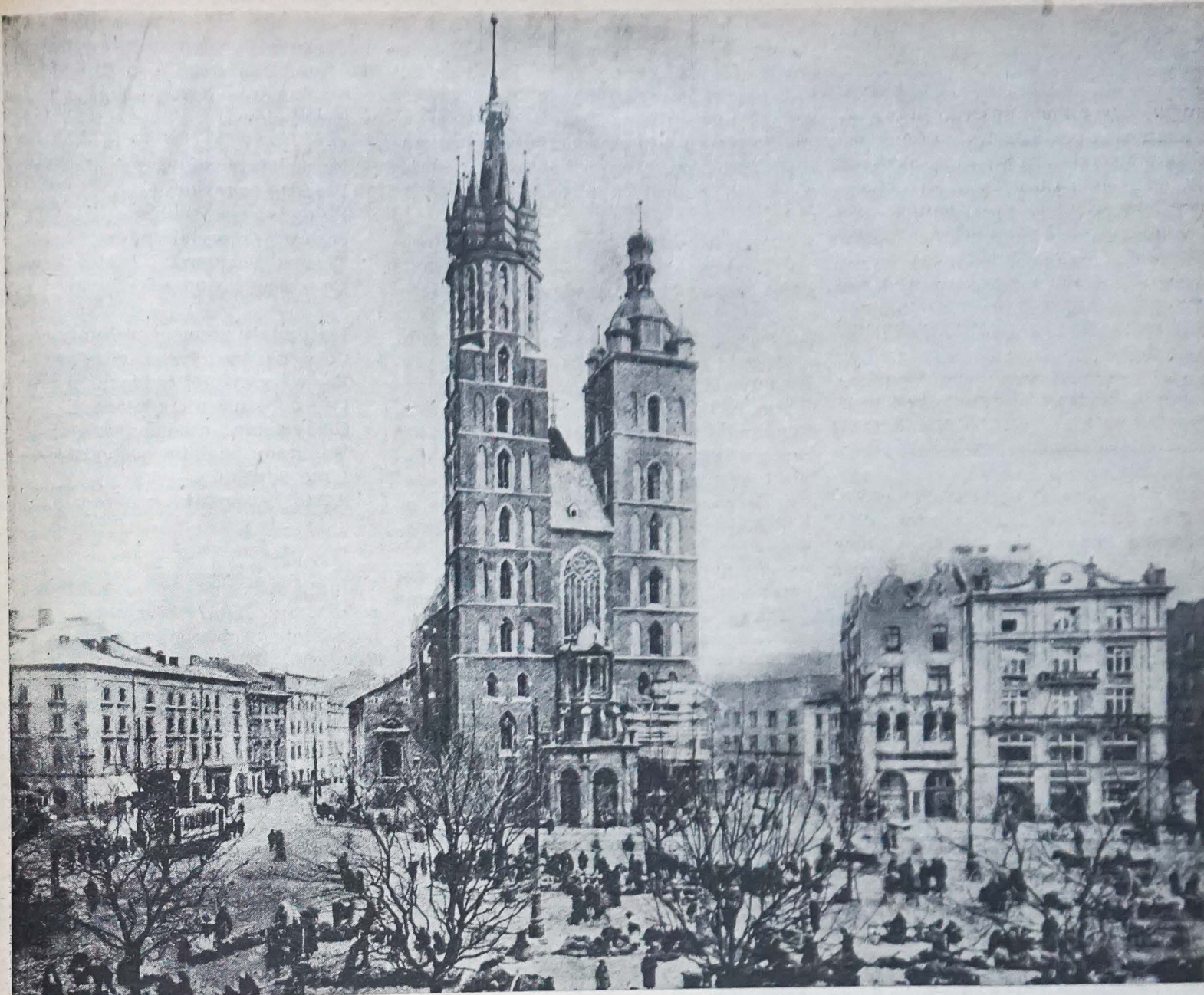
Nie tylko, że nikt nie zwalniał nas z żołnierskiej przysięgi, ale przeciwnie, w rozwiązaniu Armii Krajowej jesteśmy jedynym wojskiem państwa polskiego, jedynym zbrojnym ramieniem polskiego narodu.

Jesteśmy w dyspozycji jedynego legalnego rządu polskiego. Czekamy dziś na decyzję. Wierzymy, że będzie ona odroczeniem krymskiego dyktatu. Nasza wola o państwo polskie trwa.

Gdy nasi koledzy z Armii Krajowej muszą być dla siebie dowódcami, my musimy być dla siebie dowódcami, my musimy być dla siebie dowódcami i wraz z nimi stan-

o państwo polskie trwa.

(Dokończenie na str. 13)



Kościół Najśw. Marii Panny w Krakowie. — Na pierwszym planie część głównego Rynku

KRAKÓW W MOIM WSPOMNIENIU

Moje wspomnienia nie sięgają czasów Zielonego Balonika, ani dni świetności i powagi, o których tak wiele pisano.

Mój Kraków był spokojny, za spokojny jak na duże miasto. Wszystko w nim było poświęcone tradycją i przyzwyczajeniem — od uroczystych pogrzbów i parad wojskowych do godziny snu i menu na obiedzie u panj radczyni. Krakowianie nie lubili innowacji. Kochali swoje miasto i swoje przyzwyczajenie. Zнали każdy kąt i każdą o nim anegdotkę, którą chętnie powtarzali przy lada okazji, tonem uroczystym i pełnym namaszczenia. Krakowianina — Wawel i Zygmunt, Skałka i kościół Mariacki nie przyniatały swoją świętnością, swoimi pamiątkami. Mieszkańcy Krakowa żyli się z nimi i swoje codzienne sprawy łączyli z codziennością sal królewskich, grobów zaszczytnych, powagi uniwersyte-

tu, ustrajając ich historię śmiesznymi opowiadaniem i żartami ludzi, którym się śmiać wolno ze swojej własności. Ale obcym wara! Ale nie Krakowianin niech-

by się odważył!

Było w tym Krakowie niezmiernie dobre i trochę sennie i wszystko było jednako bliskie i jednakowo ważne. Ciastka u Mauryzkiego stanowiły przez długie lata sprawną donioślejszą wagę, niż Wawel, na którym bawić się mogłam codzień. I nie udam się powieścić do dziś, co było ważniejsze, czy łabędzie na Plantach, czy lajkonik,

czy dzwonicie Zygmunta? Wszystko miało swoją ustaloną porę roku, na wszystko musiał być czas.

Upajali się Krakowianie tradycją, ale wzruszenia rozkładali planowo i równomiernie. Nic w Krakowie nie było tylko dla dorosłych, albo tylko dla dzieci. Wszystko, czym Kraków żył, było własnością starych i młodych, bogatych i biednych.

Zajmował Kraków sobą cały dzień emerytów, którzy najpierw musieli być u gołębi na placu Mariackim, potem z o-

rzeszkami na Plantach u wiewiórek, po południu na kawie u Noworolskiego, przeczytać „Czas” i przejrzeć chociaż niechętnie „Kurierek”. Dzieci tak samo, jak emeryci, zajmował Kraków, tymi samymi wiewiórkami i gołębiami, zbieraniem kasztanów na Plantach, zmianą warty przed ratuszem, karuzelą na Błoniach. Kraków nie pozwalał zaniedbywać się przez pracujących, którzy na lajkonika, na corocznie Jasełka Rydla, na Bielany wiosną, na kawę w Grandzie — bezwarunkowo musieli znaleźć czas.

Kraków mojego dzieciństwa: to majowe wyprawy na Salwator, albo kopiec Kościuski, zabawa w Krakusa i Wandę; to zawsze od pierwszego razu drżenie serca, kiedy schodziło się krętymi schodami w dół do Smoczej Jamy; jesienią kasztany na Plantach, listopad poświęcony Wyspiań-

skiemu i Skałce; to czarne pocztowe psisko z Wawelu, które ku zdumieniu wszystkich dzieci paliło papierosy i wypuszczało dym nosem; to stragany świąteczne, całe ośniewone przed Bożym Narodzeniem, to przekupki krakowskie, sprzedające na rynku kwiaty. Był powód do radości, jeśli poza niedzielą otworzono Wielki Ołtarz Wita Stwosza w Mariackim, albo gdy poznało się osobiście trębacza z wieży. Jego strażacki hełm, buty z cholewami i umiejętność trąbienia hejnału, wzbudzały zro-

zumienie i szacunek. Do tradycji należało również zmienianie kościoła, zależnie od święta. Nikt w Krakowie nie opuścił Grobów u Kapucynów, gdzie swobodnie fruwały kanarki, a straż trzymali harcerze. Nikt nie zaniedbał zaprowadzić dziecka do Karmelitów, gdzie wmurowany był odcisk stopy „Świętej Królowej” i opowiedzieć przy tym całą historię.

Miał też Kraków swoje dni wyjątkowe, o których wiele i długo mówiono w kawiarniach i na obiadach u radosstwa. Zjeżdżali się wtedy zewsząd dalecy i obcy i wspaniali. Krakowianie byli dumni, każdy czuł, że i na niego spływa splendor i obowiązek reprezentacji. Wszyscy, od policjanta do dzieci, byli wtedy napuszeni i uroczyści. Było tak z każdym razem, kiedy zjeżdżał Prezydent, Marszałek i ambasadorzy obcych państw. Męczyli się jednakże szybko Krakowianie tymi honorami

i oddychali z ulgą, kiedy wizyta opuszczała miasto. Nazajutrz obywatele informowali się z niepokojem, czy... nie zepsuto czego na Wawelu.

Były też i dni wielkie, które porywały każdego w mieście i które miastu temu należały się przede wszystkim.

Jednym z pierwszych przeze mnie zapamiętanych — był dzień sprowadzenia na Wawel prochów Juliusza Słowackiego. Poprzedniego dnia wieczorem w oknach każdego domu zapalono świece i wystawiono portret poety, udekorowany kwiatami. Deszcz śnił, Zygmunt bił żalobnie, przejmując, gorząc nad dzwonami innych kościołów. Za trumną szli kolorową wijącą się wstęgą Krakusi w sukmanach, żyweżanki w swoich najbogatszych strójkach, górale w kierpcach. Zygmunt bił miarowo, marsz żalobny Chopina wtórował mu bólem, a najstrojniejsi, najlepsi szli za prochami poety, przejęci powagą i dumą, że oto ziemia krakowska umie godnie przyjąć na ojczyznę łono jednego z największych swoich synów. Ponad wszystkie sprawy świata, ponad kataklizmy, niepokoje i kryzysy ekonomiczne, umiał Kraków zaprząć sobą, być najlepszą myślą i największą troską swego obywatela.

Był więc niekończący się spór po wybudowaniu w Rynku nowoczesnego domu Fenixa, który raził swoją dysproporcją i nowoczesnością, było żywe zainteresowanie restauracją kościoła Franciszkanów i nowymi cudami botanicznego ogrodu.

Nie sposób mi wyliczyć wszystkich przyzwyczajęć i wszystkich obowiązków Krakowianina, a miód pod Krzyżkiem, a fiaczki u Hawełki, a coroczne bale prasy i górników.

Kraków lubował się w systematyczności pracy i snu. Godzina 22-a zastawała miasto wymiecione z przechodniów. Wszyscy bowiem szanujący się ludzie biegli do domu przed „szperą”. Tylko tu i ówdzie grupki akademików wesołą piosenką ośmielały się zakłócać spoczynek mieszkańców, lub stuk kopyt końskich o bruk niósł się po pustych ulicach, przerywając ciszę.

Ponad wszystkie inne miasta cechowała Kraków umiejętność celebrowania świąt, uroczystości narodowych, a zwłaszcza pogrzebów. Że na Rynku Krakowskim przysięgał Kościuszko, że z Oleandrów wyruszyła pierwsza Kadrowa, że stąd promieniowała twórczość „Młodej Polski” — o tym Krakowianie nie zapominali nigdy. Miasto umiało być wdzięczne każdemu, kto swoją sławą je oświetlił i wreszcie pamiętało o każdym — od króla Chłopów począwszy, po wszystkie czasy, aż do złożenia na Skałce ostatniego z nich... Szymanowskiego.

Dzień był szary, deszczowy i zimny, podobny temu, kiedy na Wawel szła trumna największego z poetów. Grały werble, były dzwony kościołów, a ulicami szedł pochód żalobny z trumną olbrzyma. Był to znowu jeden z tych dni w Krakowie, których się nie zapomina.

Ten, który przed trzydziestoma laty z Oleandrów wyruszał ze swym wojskiem, powracał oto w żalobnym pochodzie na barkach żołnierskich niesiony, od stacji po przez pokryte kirem ulice, Barbakan, Bramę Floriańską, Kościół Mariacki, Sukienice, Grodzką — na Wawel, by zatrzymać się w Kaplicy Srebrnych Dzwonów.

Biło w tym mieście pamiętek wielkie

serce Polski, które o niczym, co było bohaterkie i piękne, nie zapomina, które gromadzi przeszłe, by przelać w przyszłe lata Wielkości Narodu i Jego Chwały. Mówi o tym żołnierz — poeta, pisząc o zaduszkach w Krakowie:

Że splatają się wciąż, każdej chwili,
Przeszłe i przyszłe lata,
Że my wszyscy dobrzy i źli
Jesteśmy z czyjejś ofiary,
Z czyjejś śmierci i czyjeś krwi,
Co w nas się odradza żywa

I z czyjejś umarłej tęsknoty,
Co w nas się żywych odzywa.
Że wszyscy jesteśmy z pamiętek
I że odróżnić nie zdołasz,
Gdzie koniec, a gdzie początek
W narodu wielkim pochodzie,
I nie odróżnisz — kto żywy
A kto jest umarły w narodzie.

* * *

Mijały spokojne dni w Krakowie i narastały w lata. Wszystkie były jak poprzednie. Zmieniały się pory roku na Plantach. Kiedy świeczkami kwitły kasztany, był znak dla akademików, że pora uczyć się do egzaminów. Jednak obchodzono święta, jednak chodziło się do teatru, do Hawełki, na bale. Tylko przybyło parę grobów. Rodziły się nowe ulice na Osiedlu Oficerskim, Zwierzyńcu i Czarnej Wsi. Mała nakład „Czasu” a rozrastał się I. K. C.

I znowu pamiętny dzień Krakowa. Nie był to ani pogrzeb, ani uplanowana uroczystość. Tym razem poważni Krakowianie dali się unieść porywowi młodzieży akademickiej. Było to w parę dni po przemówieniu ministra Becka, że nie ma pokoju za wszelką cenę. Pochód akademików rósł od ulicy Wiśnej, na której wybito szyby w dopiero co wykrytym lokalu hitlerowców, i nieprzeliczone tłumy stanęły na Basztowej przed konsulem niemieckim. Spokojni Krakowianie porwali się bólem, oburzeniem, buntem i grozą.

Wkrótce potem wyjechałam z Krakowa, by powrócić doń jeszcze na parę zaledwie godzin w trzecim dniu wojny. Pożegnanie z Krakowem było tak smutne, jak smutne i ciche było wtedy miasto. Ulice i kawiarnie puste. Niektóre sklepy pozamykane. Ołtarz Wita Stwosza zamknięty.

Wojna! Wojna! Rozdarła pogodne życie. Przerwany spokój. Poraz pierwszy miasto było samotne i opuszczone i zeszło jakby na drugi plan w myśli tych Krakowian, którzy jeszcze w nim pozostali. Niespokojnie przekwitały georginie na Plantach. Nikt nie stawał przed łabędziami. Nawet dzieci nie robiły na złość plantowemu wskakiwaniu na trawniki. Tylko wierni emeryci, chyłkiem między darniami, przebiegali do swoich wiewiórek.

* * *

Potem przychodziły wiadomości z Krakowa, jakby z nie odgadnionej oddali, tak tragiczne w swojej grozie, że nie sięgając wyobraźni, że wydawały się aż bajecznie. Kraków jest stolicą Generał-Gubernatorstwa. Na Wawelu mieszka general-gubernator Franck, tam też przymuje wieckiego dyplomata, stamtąd przemawia że za dwadzieścia lat nie będzie na tej ziemi ani jednego Słowianina. Uniwersytet zamknięty. Profesorowie umierają w Oranienburgu. Zburzony pomnik Mickiewicza

Zrabowany i wywieziony ołtarz Wita Stwosza. Wywieziony Zygmunt.

Natomiast — powiększono i odnowiono lokal hitlerowców na Wiśnej. I, o perfidio naszych czasów! — w Krypcie Srebrnych Dzwonów warta niemiecka... A ponad miastem co godzina, jak dawniej, jak za tamtych czasów, gra hejnał.

Niemcy nie spodziewali się, że ta urwana melodia krzepi co dzień, co godzinę bunt i prawo odwetu w sercach setek mężczyzn, kobiet, dzieci i starców wywożonych z Krakowa do Niemiec i w sercach tych wszystkich, którzy w Krakowie mieli pozostać. Z tych to czasów dotarł do mnie list z Krakowa. Halina pisała: „Już nie mieszkam na Floriańskiej jak dawniej, mieszkam wszędzie. Adam uciekł z niewoli, nie zastał nikogo z rodziny i nikogo z kolegów. Ukrywa się narazie skutecznie. Nie umiem ci powiedzieć, jak dzielny jest Adam, pomagamy mu wszyscy, ale on nas przerasta pracowitością i odwagą. Przyszły od was Ryszard (Janka zastrzelili na granicy) i od niego wiemy, że pracujecie i jak pracujecie. Obaj z Adamem pracują bez wytchnienia. Z kobiet jest jeszcze Krystyna, bardzo dzielna. Robię, co mogę, ale sama wiesz, że przy Adamie to wszystko blednie i jest nieudolne. Kraków — dobrze, że go nie możesz zobaczyć. Czasami wydaje mi się, że już tu nie wytrzymam. Niedawno wywieźli „Zygmunta” i już nie będzie bił ani na trwożę, ani na radość. Czy możesz sobie to wyobrazić! Jeśli będzie ktoś szedł od was, napisz do mnie, ale bardziej osobiście...”

Ten list z Krakowa był ostatnim bezpośrednim kontaktem z moim miastem. Wiem. Tam niejedna Halina idzie jak cień za swoim odważnym Adamem, ale choć żali się na swoją słabość i małość, jest jak ogień, który stanie się wielkim płomieniem, aby wypalić wszystko obce i wrogie w Krakowie.

* * *

18.1.1945 wojska sowieckie wkroczyły do Krakowa. Wprost nie do wiary jest tragiczna ironia, jaka przewija się przez losy tego miasta. Opośal Wiśły, do której rzuciła się Wanda, by nie wyjść za Niemca, Niemcy postawili wartę u grobu największego męża Polski ostatnich czasów.

Trudno jest przewidzieć, jaką czysto polską tradycję zechcą wznowić w Krakowie „wyzwoleńcze wojsko sowieckie” i komitet lubelski. Faktem jest, że od czasu tatarskiej strzały, która zabija trębacza na Wieży Mariackiej, od czasu, kiedy niedokończona pieśń głosiła dzień i noc

N I E !

(Dokończenie art. ze str. 10)

my ostatni, poza sercami Polaków w Krakowie, bastion państwa polskiego, z którego nikomu zejść nie wolno. Jesteśmy wielką gromadą i w tej gromadzie siłą. I cokolwiek by się działo nie wolno nam z tej gromady się rozejść, tak samo jak nie wolno nam walczyć za inne niż polskie interesy, nie wolno nam walczyć o realizację innych niż polskie celów wojennych.

Na dyktat krymski mówimy krótko: — nie!
I wierzymy, że za to „nie” będzie nam kiedyś świat bardziej jeszcze wdzięczny niż był przez krótki okres czasu wdzięczny za „nie” rzucone Hitlerowi.

Jarosław Żaba



Zamek Królewski na Wawelu

miastu jego wolność, wielkość i polskość, nie zapomnij walczący żołnierz. Że o jego tradycji i przyzwyczajeniach myśli dziś na obczyźnie każdy Krakowianin, skrzętnie je notuje, dobrze pamięta, by wskrzesić je znów w przyszłości. Prócz wszystkich zabranych z naszego miasta wspomnień, wywieźliśmy z sobą tu na obczyznę Hejnał Mariacki, grany w południe wszędzie tam, gdzie walczy Polskie Wojsko.

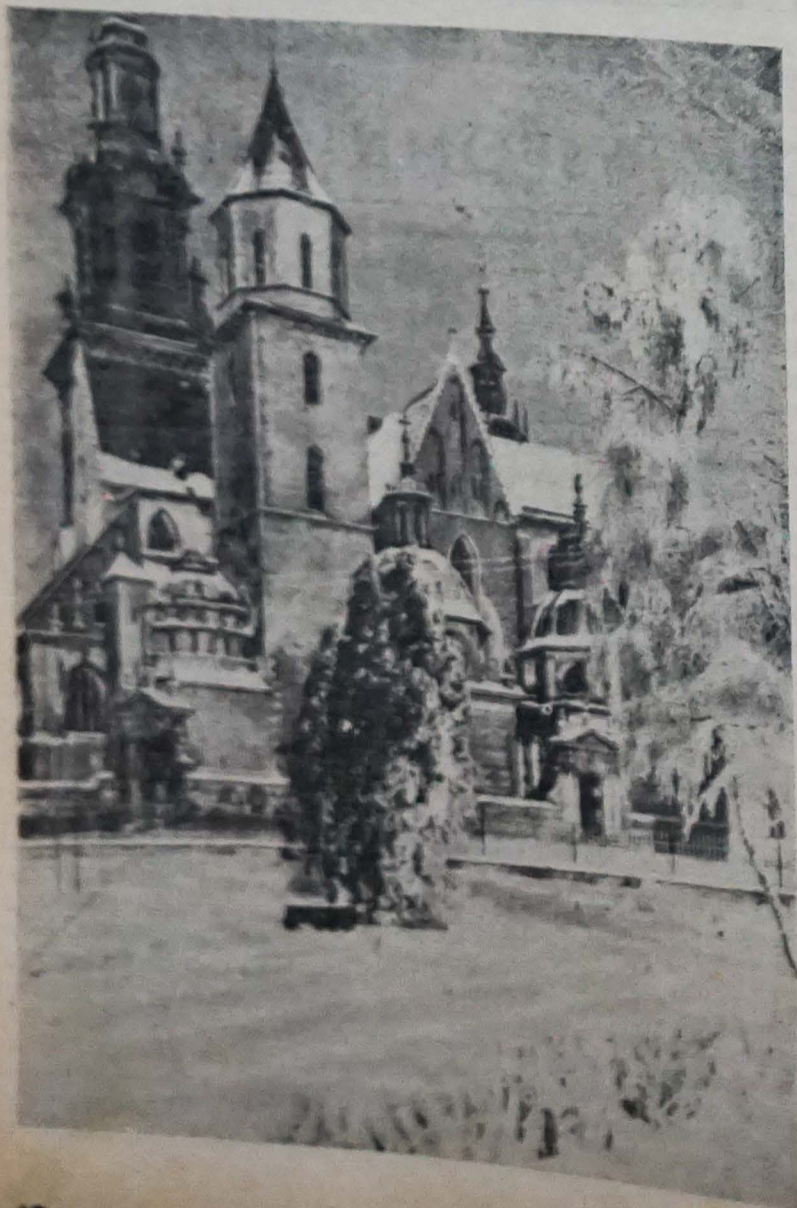
Maria Weberówna

Telegram Dowódcy 2 Korpusu do Prezydenta R. P.

Dowódca 2 Korpusu gen dyw. W. Anders wystął do Prezydenta R. P. Wł. Raczkiewicza depeszę, która zawiera m. inn., co następuje:

„Wobec ostatniego tragicznego dla nas komunikatu konferencji trzech, melduję Panu Prezydentowi, że 2 Korpus nie może uznać jednostronnej decyzji oddającej Polskę i Naród Polski na łup bolszewikom. Pan Prezydent zgodnie z naszą przysięgą żołnierską jest nadal uznawany przez nas za Jedynego Reprezentanta Majestatu Suwerennej Polski, a Rząd przez Niego powołany w Londynie za jedyne legalny Rząd Państwa Polskiego. Zachowujemy całkowitą dyscyplinę i spokój.”

— Anders, gen. dyw.



Katedra metropolitalna na wzgórzu Wawelskim

NIE WRÓCIŁ Z NICH ANI JEDEN

(Józef Czapski: „Wspomnienia Starobielskie“, Biblioteka „Orła Białego“, 1944)

Sprawa, opowiedziana na sześćdziesięciu kilku stronach przez Józefa Czapskiego, jest budzącym grozę dokumentem. Czytelnik zna ją z końcowego, nieodwrotnego już faktu. „Wspomnienia Starobielskie“ są pierwszym ujawnieniem elementów dramatu, którego przedłużeniem jest tragifarsa kłamstwa.

Do książki Józefa Czapskiego podchodzić należy z dwójakiego aspektu: literackiego i politycznego. Oba są w tym wypadku emocjonalne. Oba wywołują najwyższą reakcję, aby wreszcie połączyć się z sobą w zgodnym oddziaływaniu. Pisarz dokonał nielatwej pracy przewyciężenia siebie. U podstaw jego opowiadania tkwiła bowiem przede wszystkim liryczna czułość dla osób dramatu, nie zawinionej ani konfliktem wewnętrznym, ani czynnym przestępstwem. Prostotą wyrażania swojego osobistego stosunku do ludzi, których los przeczynał na bohaterów, osiągnął jednak Czapski to, co nazwać można — twórczą prawdą. Nie wyzbywając się bezpośredniości, potrafił autor rozszerzyć sprawę tych ludzi tak, że stała się zagadnieniem już rozwiązującym. Sprawa ta, że książka robi wstrząsające wrażenie, mimo powściągliwości, mimo niedopowiedzeń, do których pisarz był zmuszony.

W części poświęconej ludziom, więc podpadającej rozważaniom literackim, Czapski posługuje się formą przesuwaną obrazów. Z tła, z gromadnego bytowania w obozie — wydobywa autor poszczególne postacie i po kolei zajmuje się nimi, charakteryzując je w świetnych skrótach. Banał: „postacie żyją“ może tu być użyty we wskrzeszonym, więc istotnym znaczeniu. Ale jest w ludziach „Wspomnień“ jeszcze coś, co nazwać by należało tendencją tej okrutnej sprawy. Są to wartości intelektu i charakteru, jest to europejskość i chrześcijańskość tych ludzi, pełna godność, aktywna i twórcza, choć tak już nieobronna wobec metodycznych form zagłady.

Autor nie użył nigdzie słowa, mieszczącego w sobie bez reszty zło poza wojenne, ponad wojenne: — mord. Może jednak trzeba je było wypowiedzieć, aby nigdy nikt nie pozwolił sobie na podporządkowanie sprawy katyńskiej jakimś „wyższym celem“, niechby tylko politycznym. Książka Czapskiego, obok dużych zalet pisarskich, ma przecież jeszcze inne założenia. Jest pobudliwym materiałem dla przyszłych pisarzy, którym danym będzie tworzyć w warunkach lepszych, w szerszym oddechu, w spokojnym namyśle nad konstrukcją dzieła, w swobodnym postępowaniu się wnioskami. Pod tym względem jest dziś autor „Wspomnień Starobielskich“ skrzywdzony warunkami, które skazały go na ograniczanie jego możliwości pisarskich. Musi więc zadawać się tym, że jego „Wspomnienia“ pociągają będą przyszłych pisarzy przede wszystkim autentycznością, która przecież nie jest jedyną wartością tej książki. Kultura pisarska Czapskiego odnosi bowiem w tej niewielkiej książeczce znakomite sukcesy artystyczne, wybiegające poza skromne intencje autora, który chciał dać świadectwo ponurej prawdzie. Umiar pisarski, stosowany w tej opowieści o tematyce makabrycznej — pozwolił pisarzowi dokonać tego, że nie ma w książce

ani jednego fałszywego tonu, ani jednego uchybienia wobec wielkości sprawy.

W naszym współczesnym piśmiennictwie jest zrozumiała skłonność do użyteczności — i to natychmiastowej — tego, co tworzymy. Zacierają się nawet często granice między poezją wiersza a publicystyką. Pisarz chce i musi służyć sprawie nadrzędnej, wiedząc, że od jej rozstrzygnięcia zależy wszystko, więc i jego wolność twórcza. Każde uchylenie się przed rzeczywistością jest udaremniające jej potężnym naporem. W jej zasięgu tylko pozornie upraszczamy zagadnienia, które przecież odwiecznie nurtują ludzkość. Zdarza się więc, że fakt,



wyodrębniony ze względu na swoją jaskrawość, naświetla obszerniejsze i zasadnicze problemy. Jednego należy tylko wymagać od pisarza, aby działał świadomie. W swoim zakresie równy jest wodzom i mężom stanu, to znaczy, że jest tak samo jak oni odpowiedzialny za swoje czyny. Jeżeli niekiedy bywa tylko „szarą emulcją“, to rolę tę bierze na siebie po to, żeby wykonalność zamierzeń była szybsza i realna.

Pisarz Czapski nie dlatego więc zanotował w drugiej części swojej książki urzędową misję w sprawie odnalezienia zaginionych jeńców ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa — aby jedynie za sprawozdawcze te zabiegi. Notatki mające wymowę aktualną. Są uderzającą, dającą przebieg sprawy i odtwarzającą jej atmosferę. Rozmowy z dygnitarzami, jawią wykrętność, wywołują dziwną reakcję czytelnika. Po prostu — zapierają dech. Mimo bowiem, że wiemy już dziś, jak było naprawdę, czekamy z zapartym oddechem na to, co powie ci dygnitarz? Jak brzmieć będzie kłamstwo? Jakim ge-

stem zdradzi się dokonana zbrodnia? Jak dźwięk głosu ją ujawni lub zatai?

Prosta relacja autora, nie ustrojona w literackość, stała się najdoskonalszą formą dla ujawnień psychicznych. Pozazdrościłby mu Dostojewski tych osiągnięć w odcyfrowywaniu duszy, zatajanej tym głębiej, im bardziej zrobione to jest naiwnie, im bardziej bezczelnie i cynicznie. Czapski, pisząc najzgodniej z prawdą, nie dopełnił jednak swojej książki — stwierdzeniem. Brak ten częściowo usunął powtarzającym się refrenem który zamieścił także na końcu książki: „nie wrócił z nich ani jeden“. Zdanie to, zamykające książkę, jakby ją rozpoczynało na nowo. Jeszcze raz bowiem przesuwa się szereg osób, które żyły i cierpiały w książce. Wracają po to, żeby jeszcze mocniej potwierdzić swoją wartość, nie pokonaną przez koszmarnie warunki w obozach jeńców. Wspólny, jednakowo tragiczny koniec tych ludzi, nie potrafił ich pozbawić osobnych, właściwych cech. Każdy — było ich 12 tysięcy — każdy, choć dotąd jeszcze przez nikogo nie „napisany“, jest w narodzie policzony jako pozycja, której zabrakło.

Tak właśnie przedstawia się drugi aspekt „Wspomnień Starobielskich“ — polityczny. Umieszczony narazie na wąskim odcinku, domaga się fakt katyński wydobycia na wielką scenę świata. Przede wszystkim nie wolno go pomijać w rejsach zbrodni popełnianych w tej wojnie. Odyseja poszukiwań Czapskiego jest poza tym tak pouczająca i tak znamienita, że jeżeli nie dziś jeszcze, nie natychmiast, trudno będzie już w najbliższej przyszłości nie korzystać z jej doświadczeń.

Kierując te wnioski „do świata“, nie łudźmy się że dojdą do właściwych rąk. Książka Czapskiego powinna być przetłumaczona na obce języki. Wtedy dopiero okaże się, czy wyobraźnia Zachodu może podjąć nie nasz, polskim problemom, ale swoim własnym.

Dla nas wystarczy dla potwierdzenia tego, co czujemy, co rozumiemy, co wiemy — pierwszy lepszy fragment tej książki, albo przytoczony w niej wiersz poety ppłk. Piwowara (jednego z tych, który „zaginęł“), pisany na bibułkach do papierosów:

„...kiedy konało serce kompanii i wróg z obłoków ogniem bił w nas, nam, w węzłowiska dróg wplątanych, nie wojna rosła lecz ojczyzna.

Ojczyzna, która zewsząd idzie drogą fabryczną, drogą rolną i śmierć tu mała, wielkie życie i ponad każde niebo — wolność.

„Czytał mi ten wiersz — pisze Czapski — stojąc w mokrym śniegu o zmierzchu, progu zadymionego, zatłoczonego baraku.

Dla nas to wystarczy, żeby nie zapomnieć.

Hermińska Naglerowa

Poszukiwania

Redlich Jan, Polish Forces 613, poszukuje siostry Stanisławy Redlichowej z Kulisza, zaginionej we wrześniu 1939 r. na obszarze Wsch. Polski i wywiezionej następnie, według informacji, do Rosji Środkowej.

W LABORATORIUM RADOŚCI ŻYCIA

„Gdy nas los w najważniejszym węzle komunikacyjnym w myśli całego świata osadził, zbrodnią wobec kraju nigdy niewybaczalną byłoby niewykorzystanie tej sytuacji dla budowy przyszłości. Najlepszy ustrój nie będzie wiele wart, jeżeli go nie podeprą czyste ręce, jeżeli światła mózgi i pokochają uczciwe serca. Wszystko spróbowadza się do wartości człowieka“ (Antoni Wójcicki: „Wychowanie — instrumentem przemiany“).

Taką prawdę niesie książka Wiktora Szyryńskiego „W laboratorium radości życia“ — zarys higieny psychicznej, ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego, wydana nakładem Oddziału Propagandy i Kultury Dowództwa A.P.W. — Palestyna 1944.

Skąd czerpać siłę szczęścia? Gdzie źródło zdolności do walki, miłości i twórczości? Jak odczuwać radość życia, zapomnianą dawno na ścieżkach wygnańców? Oto dręczące, codzienne pytania. W książce Wiktora Szyryńskiego znajdujemy odpowiedź.

Przenika ją idealizm i głęboko humanistyczny stosunek autora do człowieka, który wierzy, „że duch, charakter i kultura decyduje o postawie narodu. Jeżeli więc za tą cenę wygramy wojnę — wydaje się jasne, że troska o przyszłość Polski ma w pierwszym rzędzie objąć troskę o człowieka, piękno i radość życia“. To sformułowanie dowodzi, że autor wyrósł z kultury narodu, związanej podstawowymi treściami z wspólnotą zachodnio-chrześcijańskiej kultury, której pionem krystalizacyjnym rozwoju pojęć jest uznanie wartości człowieka. W tej zasadniczej prawdzie przeciwstawia się ona obcej i wrogiej kulturze. Pamięci prof. dr. Włodzimierza Godłowskiego, dyrektora kliniki neuro-psychiatrycznej Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, zamordowanego w Katyniu, poświęca autor tę książkę. Jakże to dziś dla nas wymowne!

„W laboratorium radości życia“ ma w samym tytule akcent dynamicznej wiary w młodość i dlatego łączy się z czytelnikiem, jak wierny towarzysz przymierzem serca i myśli. Mówi ta książka o tym, jak zdobywa się szczęście własnymi siłami. Argumentami obiektywnej prawdy naukowej dowodzi, jak na siedlisku mocnego charakteru rozkwitają kwiaty szczęścia ludzkiego, związków i porozumienia z otoczeniem, z którym człowiek zespala się w codziennym życiu i pracy. Książka ukazuje, jak na ugorach słabości, niewiary i aspołecznej postawy plenią się chwasty niechęci, urazów i kompleksów u malkontentów, którzy nie umieją ani sami skonstruować własnego życia, ani nawiązać współżycia z grupą.

Problem higieny psychicznej, czyli zdrowia moralnego człowieka, opracował autor na podstawie bogatej literatury przedmiotu (patrz rozdział: „Zakończenie i piśmiennictwo“) i samodzielnymi badaniami.

W dwu pierwszych rozdziałach autor wyjaśnia, co jest przedmiotem i zakresem badań higieny psychicznej i jakie są metody naukowe tej pracy. Z rozważań tych wysnuwa autor wniosek, „że higiena psychiczna jest nauką o szczęściu człowieka, o harmonii życia społecznego“.

Następne trzy rozdziały omawiają kwestię higieny psychicznej na tle specjalnego środowiska wojska i w związku z tym

przyczyny zaburzeń nerwowych i umysłowych występujących u żołnierzy. Dalsze rozdziały przeprowadzają analizę szczegółową rozwoju psychicznego jednostki w zbiorowości na tle wrodzonych instynktów charakteru i osobowości (stanu wewnętrznego, umysłowego i fizycznego). „Charakter, zdaniem autora, obejmuje społeczne jednostki, osobowość, jej wewnętrzne zespolenie“. W rozdziale o zasadach higieny psychicznej w życiu codziennym autor wyprowadza wnioski w formie wskazówek postępowania według zasad higieny psychicznej. Doskonale ujmując je krótkie zestawienie w formie przykazań życiowych, najważniejszych punktów higieny psychicznej w życiu codziennym jednego z amerykańskich autorów na str. 99.

WIKTOR SZYRYŃSKI
Starszy Asystent Kliniki Neurologicznej U S B w Wilnie

W LABORATORIUM RADOŚCI ŻYCIA

ZARYS HIGIENY PSYCHICZNEJ
ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM
ŻYCIA WOJSKOWEGO



PALESTYNA 1944

„Klimat psychiczny“ — zwróci uwagę czytelnika także na treść, bo zawiera wiadomości o nas samych i naszym otoczeniu. Uświadamiamy sobie w czasie czytania, na jakim podłożu psychicznym i jakimi środkami mamy kształtować własną linię życia i charakteru, który jest kierowniczym motorem zachowania się i ustosunkowania się do świata zewnętrznego jako zespół nabytych i zapamiętanych uczuć (dr. Marzurkiewicz). Romantyczne wezwanie „mie serce i patrzaj w serce“ jest przetłumaczone na język nowoczesnej wiedzy. Zapędnione gdzieś w koki róg i lekceważone dawniej uczucia, przywrócone są przez naukę do roli kierowniczej w życiu duchowym. One zabarwiają sądy, one wpływają na świat pragnień i postanowień — decydują o naszej woli. Dużą wagę w życiu duchowym mają także instynkty wrodzone, te zasadnicze egoistyczne tendencje jednostki, zwłaszcza instynkt znaczenia i instynkt samozachowawczy. One są źródłami energii ludzkiej „jak biały węgiel rwących górskich rzek“, których nie tylko nie należy lekceważyć, ale powinno się nim świadomie kierować, gdyż zahamowanie instynktów stwarza upośledzone typy o poczuciu niższej wartości, tak często spotykane w naszym otoczeniu. Lęk przed światem i urazy doznane w dzieciństwie hamują pełny rozwój dojrzałego człowieka. Dla własnego szczęścia i pożytku swego narodu musi się człowiek wyzwoić z choroby słabości, by zdobyć własną pozycję w życiu, by wyrobić w sobie odwagę przekonania, a tym samym powiększyć wydajność energii narodu, przez kształcenie zdrowych nawyków myślenia, odczuwania i dążenia.

„Nie o odsunięciu trudów proszę, ale o siłę w zwycięskiej walce z nimi“. Oto modlitwa filozofa i poety Rabindranatha Tagore, której realizacja jest celem książki przekazanej przez autora „wszystkimi śmiałym pracownikom szczęśliwego jutra Polski“.

Nie ma światła bez cienia. Dlatego na koniec należy zwrócić uwagę, że brak objaśnień licznych terminów naukowych, nie spotykanych w mowie codziennej, oraz zbytne nagromadzenie materiału — utrudniają czytelnikowi czytanie tej pożytecznej książki.

dr Janina Pilatowa

Wiadomo ogólnie, że najbardziej interesuje nas to, co bezpośrednio łączy się z naszym osobistym bytem, co dokonywa się w nas, a z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Dlatego efektowny tytuł rozdziału:

Młodości! Wszystkiego dziedzicu! O pokolenie, przyszłą wiosnę niosące!

Serca nasze drżą do tej wiary, że ty się nisko schylisz do czarnych stóp cierpiącego w Ojczyźnie człowieka, a on cię pasować będzie na swego rycerza. A gdy się dźwigniesz i rozciągniesz ramiona, zedrzesz z dłoni rękawicę i ciśniesz ją z wyzwaniem na walkę do ostatniego tchu oszustwu, co w masce cnoty i prawa przechadza się po naszym świecie. Serca nasze drżą do tej wiary, że to ty wylepisz w duszach dufanie polskie w samochwalstwo i zmusisz do milezenta usta pochlebcy. Gdy ujmiesz w rękę żagiew prawdy, pójdziesz wbrew leniwym, bezwolnym, jałowym powzięciom tłumy, wbrew zaskorupałym opiniom partyjnym, wbrew ufortyfikowanym obozom szlachty, fabrykantów, robotników, chłopów i nieszczasn.

Albowiem kto nie drży przed podjęciem walki z tak rozszarpanym ideałem narodu, ten się bije o święte widziadło wielkiego Ludu przyszłości.

Stefan Żeromski

POMOCNICZA SŁUŻBA KOBIET w R. 1944

Rok ubiegły — rok chwały 2 Korpusu na froncie włoskim — jest dla Pomocniczej Służby Kobiet sprawdzianem pracy na rzecz walczącego wojska. W tym zasięgu po raz pierwszy danym jest pełnie kobietom polskim służyć w wojsku, być żołnierzami.

Jeżeli kobiety w Kraju, uczestnicząc w bohaterstwie Armii Krajowej i w pracy podziemnej, wykazały najwyższe wartości obywatelskie — to my tutaj, mimo lepszych warunków życia i bezpieczeństwa, staraliśmy się również „mierzyć siły na zamiary”. Niektóre działy naszej pracy wymagają bowiem wysiłku fizycznego, przekraczającego nie raz zasób sił kobiecych. Wytrwałością, ambicją, wolą i entuzjazmem równoważyliśmy braki i niedociągnięcia. Nie chcemy zawieść zaufania Dowódcy, Gen. Andersa, który, powołując w ZSRR do życia Pomocniczą Służbę Kobiet, wyznaczał jej coraz bardziej odpowiedzialny i coraz szerszy zakres pracy. Przede wszystkim jednak widzimy celowość naszych wysiłków w zastępczej i pomocniczej służbie dla żołnierza, którego po-

stawa budzi nasz podziw i napełnia wiarą w zwycięstwo.

Omówienie dokonanej pracy P. S. K. za rok 1944 nie może być w krótkim artykule wyczerpujące. Wiele danych trzeba z wiadomych względów pominąć. Ale i takie ogólnikowe zestawienie da nam obraz pracy i osiągniętych wyników.

Służba zdrowia

Razem z 2 Korpusem przybyły z początkiem r. 1944 na teren Włoch szpitale, w których służbę sanitarną pełnią przede wszystkim kobiety. Lekarki, farmaceutki, siostry, sanitariuszki, świetliczarki, kancelistki, magazynierki, obsługa kuchni — stanęły od razu do pracy bądź to w szpitalach wojennych, bądź też w najbliższej linii bojowej znajdujących się CCS.

W okresie walk o Monte Cassino i Anconę, praca w szpitalach osiągnęła najwyższe nasilenie. Wtedy nie tylko siostry i sanitariuszki, ale i personel administra-

cyjny i kancelaryjny P. S. K. stanął do obsługi rannych i chorych. Dodać tu trzeba, że nie liczono godzin tej pracy, nie uprawiano żadnej „ekonomii” sił w tych dniach i tygodniach, kiedy to jednocześnie z chwałą zwycięstw były i ofiary w ludziach.

Walka o życie żołnierza nie ustaje w szpitalach nawet w okresie „ciszy na froncie”, czy też „działalności patroli”. Bezustanny jest wysiłek lekarza, siostry, sanitariuszki. Musi być i wytrwały i sumienny. Jeżeli praca przy chorych uważana jest za najbardziej dla kobiet odpowiedzialną, to nie należy uważać jej za łatwą pod względem fizycznym i psychicznym. Niewątpliwie jest to praca „wdzięczna”, dająca naoczne wyniki. To też żołnierz na pierwszym miejscu stawia zasługę naszych kobiet w szpitalnictwie i daje temu wyraz w uczuciu wdzięczności, w uznaniu dla trudów.

Dodać tu jeszcze trzeba, że ochotniczki P. S. K. pracowały jako sanitariuszki i tłumaczki w transportach, odwożących rannych żołnierzy z punktów opatrunkowych do szpitali.

Transport

Wojna dzisiejsza jest, jak to ktoś powiedział, — wojną zaopatrzenia i transportu. Już w poprzedniej Wojnie Światowej były kobiety w armii angielskiej używane w służbie drajwerskiej, zwłaszcza do obsługi wozów sanitarnych. Próba wypadła dobrze, mimo, że praca w transporcie wymaga przewyciężenia wielu właściwości organizmu kobiecego i psychiki kobiecej. Stworzenie Kompanii Transportowych P. S. K. było jednak pierwszym eksperymentem na tak dużą skalę. Od razu trzeba powiedzieć, że eksperyment się udał. Kierowczynie stoją rzeczywiście na wysokości zadania, bo nie tylko opanowały zawód, ale wykazały dużą sprawność w zastosowaniu się do różnorodnych warunków i do każdego terenu. Są uważne, staranne, obowiązkowe. Są przede wszystkim ostrożne.

Jedna tylko kompania na terenie Włoch przejechała w ubiegłym roku 200.000 mil i wykonała 14.000 dyspozycji. Kompania przewiozła tysiące ton materiału wojennego, więc broni, amunicji, materiałów pędnych, żywności. Nieraz ładowały drajwerki same skrzynie z amunicją. Obok pracy drajwerskiej i połączonej z tym konserwacji wozów — co przedstawia się bez zarzutu — pełnią ochotniczki w kompaniach transportowych regularną służbę wartowniczą.

Trzeba tu jeszcze nadmienić, że praca kierowczyń odbywa się nieraz w strefie przyfrontowej, pod ostrzałem nieprzyjaciela. Służba transportowa jest dużym dorobkiem P. S. K.

Kompania Kantyn Polowych i Bibliotek Ruchomych

Trzecią pozycją w bilansie rocznym P. S. K. — jest Kompania Kantyn Polowych. Działalność jej rozpoczęła się dopiero wtedy, kiedy żołnierz poszedł do boju. W tym okresie kantyniarki nabie-

rały doświadczenia i wytwarzały metodę pracy. W czasie akcji pod Monte Cassino kilka zespołów kantynowych pracowało na punktach opatrunkowych, rozdzielano przydziały NAFFI i EFFI, opatrywano rannych i otaczało nad nimi opiekę. Jeden z zespołów w Aquafondata pracował pod ogniem artyleryjskim wraz z lekarzami i sanitariuszkami. Kantyniarki przyjmowały cały wpływ rannych z wysuniętych punktów opatrunkowych. Tu, według raportu Komendanta jednego z Ośrodków Sanitarnych — „zespół kantyniarek wyróżnił się pracowitością, nieustrudzoną chęcią niesienia ulgi rannym i dawał dowody przykładnego ducha samarytańskiego”.

Kantyna przy jednej z dywizji przez cały okres bitwy o Monte Cassino zaopatrywała najdalej wysunięte oddziały w świeże owoce, jarzyny, papierosy i t.d. Na stanowiska wysunięte dowożono produkty na mułach. Inny zespół przy „Kresowej” miał punkt kantynowy przy stanowiskach polskiej i angielskiej artylerii. Pozatym funkcjonowały kantyny ruchome na wozach zaopatrzone w to wszystko, co można było dostać w stałej kantynie. W czasie akcji nad Adriatykiem kantyny musiały co parę dni zmieniać m. p., tracąc przez to kontakt z piekarnią i składnicą. Ten okres pracy był sprawdzianem inicjatywy i przedsiębiorczości kantyniarek. Powodzenie kantyn podczas bitwy nad Adriatykiem wyraża się w wielomilionowych obrotach.

Dzięki energii jednej z ochotniczek powstała masarnia, w której wyroby wędlin cieszą się wielkim powodzeniem wśród żołnierzy 2 Korpusu. Za sprawą innej kantyniarki powstała ciastkarnia, wypiekająca wiele tysięcy ciastek dziennie i zaopatrująca nie tylko kantyny, ale i poszczególne oddziały. W okresie letnim jedna z ochotniczek zorganizowała produkcję wody sodowej i oranżady. A jeszcze inna kantyniarka prowadzi na szeroką skalę dział zakupu owoców. Nic dziwnego więc, że kantyny cieszą się sympatią żołnierzy.

Łączność

Ochotniczki zastąpiły mężczyzn na stanowiskach radiotelegrafistek, radiotelefonistek, fullerfonistek, telefonistek i szyfrantek. Przygotowane do tej pracy na specjalnych kursach, wywiązują się bardzo dobrze z powierzonego im zadania. W czasie tegorocznej kampanii we Włoszech, Łączność P. S. K. pracuje dla potrzeb frontu. Pod Monte Cassino i Anconą kobiety obsługiwały radiostacje jednego z Sanitarnych Ośrodków Ewakuacyjnych, Kolejową Stację Zaopatrywania, Zgrupowanie Zakładów i Służb w polu, Polowe Ośrodki Zaopatrywania.

Poza pracą właściwą, odbywającą się w pobliżu frontu, nieraz nawet pod ogniem artyleryjskim i bombardowaniem, ochotniczki z Łączności, po nieprzespanych dyżurach nocnych, pomagały siostrze w szpitalach. Zajmowały się też akcją oświatową, pisząc codziennie komunikaty odbierane przez radio dla oddziałów najbliższych stojących.

Cicha, cierpliwa, na zewnątrz nie efektowna praca Łączności P. S. K. zasługuje niewątpliwie na specjalne podkreślenie.

Kancelistki

Pod mianem „kancelistki” ujmujemy rozległą i różnorodną pracę, spełnianą przez ochotniczki P.S.K. w biurach woj-



W pracowni analitycznej

Świetliczarki

skowych. Są to zatem referentki, sekretarki, kreślarki, bibliotekarki, maszynistki, buchalterki, tłumaczki, stenografki i t. d. Ich praca, niejednokrotnie odpowiedzialna i samodzielna, przyczynia się do usprawnienia biur. Można zawsze liczyć na ich sumienność i punktualność w wykonywaniu powierzonych im zadań. Nie brak im też inicjatywy w zakresie pracy samodzielnej.

Z chwilą, kiedy wojsko przeszło do akcji, miejsce świetliczarek w Dywizjach i oddziałach zajęły kantyny. Natomiast w Domach Wypoczynkowych, w Szpitalach, w oddziałach pozakorpusowych praca oświatowa posługuje się ochotniczkami-świetliczarkami. Pracują one bądź, to w świetlicach, bądź też na salach szpitalnych, gdzie

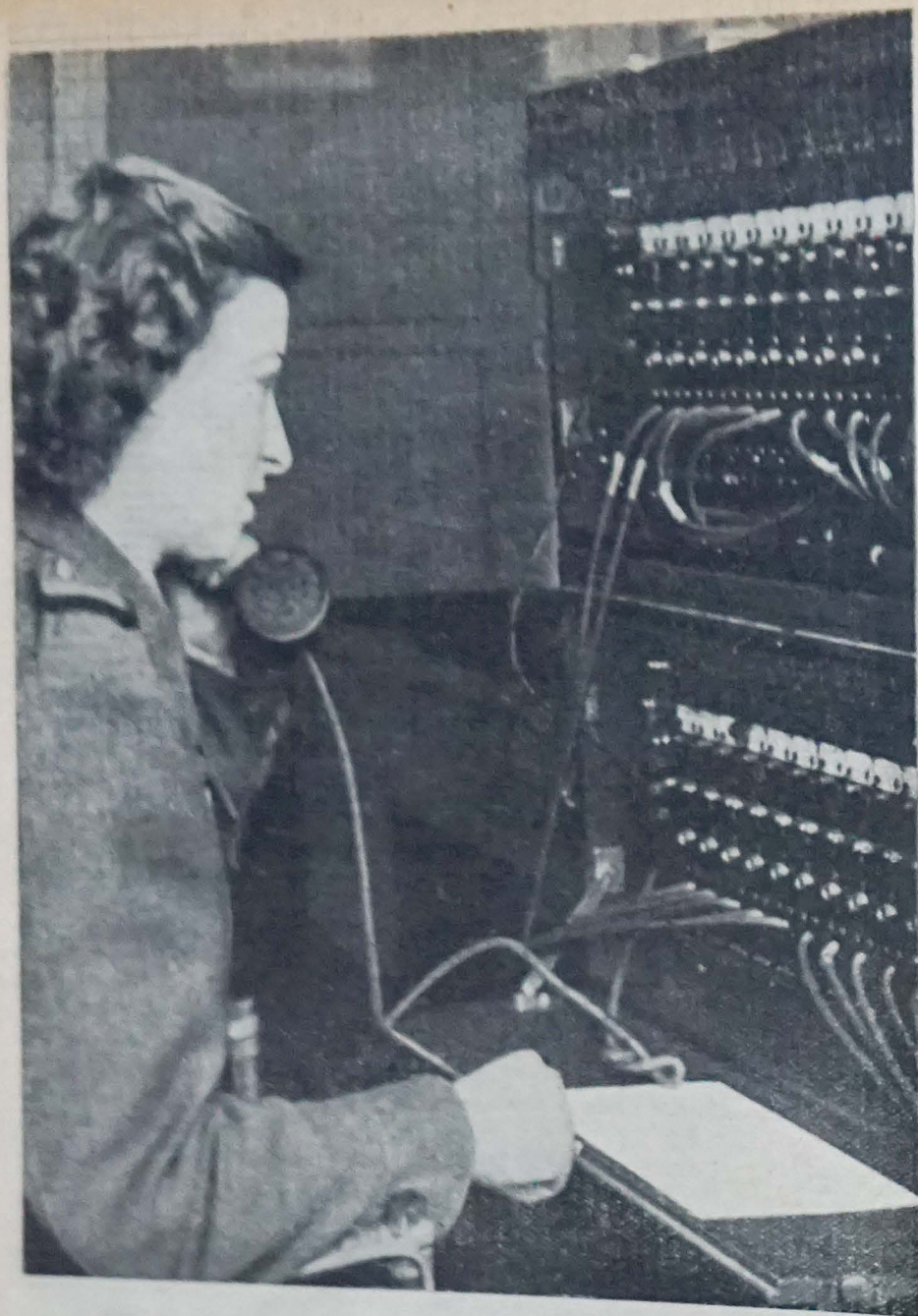


Rękopis nieczytelny



Drajwerki same ładują

(fot. K. Hryniewicz)



Przy łącznicy

(fot. K. Hryniewicz)

czytanie i pisanie listów dla chorych, rozdawanie książek i czasopism, czytanie komunikatów radiowych — jest szczególnie ważne. Organizują ogniska, widowiska, teatry i chóry żołnierskie. Spełniają zadania swoje z całą świadomością ich znaczenia. Żołnierz polski bowiem, jak żaden inny na świecie, garnie się do wiedzy, do książek. Jego wysokie obywatelskie poczucie skłania go do orientowania się w sprawach, dotyczących sytuacji Polski, o której wolności walczy. Świetliczka jest więc niejako tym bezpośrednim informatorem żołnierza. Zdobywa jego zaufanie i wdzięczność.

Teatr

W Czołwach Teatralnych i w Teatrze Żołnierskim zespół artystyczny ochotniczek P.S.K. złożony bądź to z artystek zawodowych, bądź też z amatorów (a tych jest większość), pracuje dla żołnierza piesznickim i w poważnym dramacie. Praca ta odbywa się nieraz w ciężkich warunkach. Czołwki i Teatr docierają do oddziałów w krótkich chwilach odpoczynku dając rozrywkę, nastrój, słowo i kolorystykę polską.

Szkolnictwo

Szkolnictwo w ramach P.S.K. rozwinęło się szczególnie na terenie Palestyny, gdzie pracuje szkoła powszechna, gimnazjum i

liceum, gimnazjum kupieckie i jednorooczny kurs handlowy. Pozatym otwarto przy gimnazjum również kurs maturalny (duża i mała matura). Odkomenderowano na ten kurs ochotniczkę, którym brak było jednego roku do otrzymania świadectwa dojrzałości.

Inspektorat P.S.K. zamierza organizować na terenie Włoch kursy maturalne. Ochotniczki, nie przerywając swoich zajęć normalnych, już w niektórych oddziałach przygotowują się do matury. W wielu oddziałach odbywa się systematyczna nauka w zakresie gimnazjum.

Kursy wojskowe

Celem lepszego przygotowania ochotniczek do wszystkich działań pracy P.S.K., odbywały się i odbywają szkolenia unitarne, techniczne, administracyjno-gospodarcze, kwatermistrzowskie. Prócz tego trzeba było przygotować kadry oficerów i podoficerów. Kursy podoficerskie i oficerskie miały miejsce w Palestynie i w Egipcie, będą też w najbliższym czasie organizowane na terenie Włoch.

Nasze pismo

Ukazujące się już drugi rok pismo P.S.K. „Ochotniczka” rozwinęło się i powiększyło, dzięki lepszym warunkom wydawniczym na terenie Włoch. Omawiając zagadnienia ogólne, obchodzące nas wszy-

stkie, zamieszczając artykuły i reportaże odnoszące się do pracy P.S.K., pismo nasze jest niejako dokumentem, świadczącym zarówno o naszej pracy, jak i o postawie obywatelskiej i żołnierskiej naszego ogółu. Powiększający się stale nakład wskazuje na to, że „Ochotniczka” czytana jest nie tylko przez nas, ale i przez żołnierzy.

Wszystkie te prace dokonane przez Inspektorat Pomocniczej Służby Kobiet i, w miarę możliwości doświadczenia usprawniane, kierowane są przez Inspektorat Główny P.S.K. Jako władza naczelna troszczy się Inspektorat o coraz nowsze osiągnięcia w dziedzinach dotąd niedostępnych dla kobiet. Są to zdobycze, które w historii ruchu kobiecego mają znaczenie zasadnicze i mieć je będą na przyszłość. Trzeba tu powiedzieć, że ciągle jeszcze napotyka się na sprzeciwy, niezrozumienia i przesady. Inspektorat zwalcza je z wytrwałością, wierząc, że spełnia ważny obowiązek społeczny. To, że Inspektorat osiąga w swoich dążeniach dobre rezultaty, jest niewątpliwie zasługą całego ogółu Pomocniczej Służby Kobiet, które spełnia swoje obowiązki nieraz ponad miarę swoich kobiecych sił. Postawa moralna kobiet, ich siła duchowa, dają nam nadzieję, że kobiety, które przeszły służbę w P.S.K., nie zawiodą ani tu, gdzie są żołnierzami w mundurach, ani na przyszłość w Kraju, gdzie długo jeszcze będą miały być żołnierzami-obywatelkami.

Halina Zawadzka

Siostra Lusia

Siostra Lusia ma niebieskie oczy
I czupurny kościuszkowski noszek.
Tłumi strach — w jej uśmiechu drżą

Ciemny bursztyn we włosach migocze

Siostra Lusia nie znosi patosu.
Siostra Lusia nie cierpi ekstazy.
W dziwne węzy wikłają się losy —
Trzeba waleczyć. I nie wolno marzyć.

Siostra Lusia nie umie przywyknąć,
Mehem ni korą nie umie obrastać,
Nie chce zgubić się, w rutynie

Każdy ból jest jej bólem. Jej własnym

Siostra Lusia jest tylko kobietą —
To tak mało a tak bardzo dużo...
Żołnierz? Cóż za żołnierz

Trudno, wojna, trzeba być w mundurze

Kładzie opatrunki jak pieszczołę
Na krwawiące poparzone twarze.
Aby nie bolało. Aby się zraszało.
Przegnać śmierć. Nie dopuścić zakochać

Nie wie. Nie zrozumie. Nie uwierzy,
Ze swą ciężką, żmudną, trudną pracą
Kuje chlubny dyplom na żołnierza.
Jak on walczy i jak on zwycięża.

Szczerym Eln...

DZIEŃ WYPEŁNIONY PO BRZEGI

Przez przymknięte okiennice nie sączy się do pokoju ani jeden promień światła. Ale fosforyzowane wskazówki zegarka świecą już na 6-30 min.

Jeszcze jedno zaciśnięcie powiek. Lecz nawet zamknięte oczy widzą tarczę zegarka, która nieubłaganie każe wstać. Trzeba się zmusić, żeby zerwać się na równe nogi z ciepłego łóżka i zapalić lampę.

— Dziewczynki, 6-30 min. — woła Hanka, kierowniczką zespołu kantynowego — trzeba wstać!

— Jak ta noc krótko trwa — mruczy mała Zosia, wygrzebując się spod stołu koców.

— Cóż za bezcelne oszustwo z tą słoneczną Italią — postępuje Wanda — ziąb, jak na Sybirze.

— Czy tylko woda w chłodnicy nie zamarza — myśli z niepokojem Krysia, ubierając się pośpiesznie.

Przy szybkim myciu, ubieraniu się i ścieleniu łóżek robi się ciepłej i za chwilę cała czwórka jest już na dole w kantine. Hanka nie potrzebuje wydawać żadnych poleceń. Są zgrane z sobą, pracują już razem 10 miesięcy i każda od razu zabiera się do swojej roboty.

Krysia nalewa benzynę do baku samochodu, Hanka, według sporządzonego przez siebie rozdzielnika, wydaje Zosi towar, przeznaczony dla oddziałów, a Wanda, rozpalwszy hydrę, zabiera się do robienia kanapek.

Przed drzwiami zamkniętej kantyny zatrzymują się dwaj żołnierze. Czytają napis: „Kantyna Polowa Nr... czynna od 10-13 i od 15-19-tej”. — Słuchaj — mówi jeden z nich — postukajmy, może otworzą. Babki w kantynach mają naogół dobre serca.

Stukają naprzód delikatnie, potem coraz mocniej i mocniej. Za chwilę słychać zgrzyt klucza i w drzwiach staje Wanda. Nos trochę zasmolony, przypasana fartuchem, w rękę duży nóż do krajania ciasta — jednym słowem wygląd groźny, ale uśmiecha się i tłumaczy, że kantyna będzie otwarta za godzinę i pokazuje napis na tablicy.

— Ale my z frontu proszę pani — oświadcza jeden z żołnierzy — i za godzinę z powrotem.

Wobec tego drzwi kantyny otwierają się szerzej, żołnierze wchodzą, siadają w pustej sali, a Wanda wpada do kuchni, nalewa czym prędzej przygotowane kakao i nakłada na talerz ciastka.

— Kto tam przyszedł? — woła z magazynu Hanka.

— Z frontu — odpowiada Wanda — wiesz, ci, co mieszkają na przeciw nas.

Wraca do kantyny, stawia na stoliku filiżanki i talerz i słucha jak żołnierze dziwią się, że tu tak cicho i spokojnie.

— Rzeczywiście — stwierdza Wanda — ktoś to lepiej wie niż ja, która mieszkam na przeciwko was, że tu... cicho.

Chwila konsternacji, a potem cała trójka wybucha śmiechem...

A tymczasem wóz Krzysia z towarem dla oddziałów pnie się mozolnie po serpenty-



Uśmiech kantyniarce

(fot. K. Hryniewicz)

nach. Jest śnieg i, mimo łańcuchów, wóz sunie jak na płozach. Ale Krzysia ma spokojne i mocne ręce doświadczonych kierowcy. A siedząca obok niej Zosia patrzy błękitnymi oczami na odśnieżone góry i mgliste doliny. Kładzie jasną głowę na oparciu i uśmiecha się do jakichś swoich tajemnych myśli.

— Krysia — mówi — pomyśl, że jeżeli zwiększą wypiek do 1500 bab dziennie, to będziemy mogły dawać bułkę nie na 10-ciu żołnierzom, ale na 6-ciu. I możnaby coś dodatkowo urwać dla dzieci z Łączności.

Cichą tajemnicą 20-to letniego Zosiniego serca jest matczyne efekty dla chłopców z Brygadowego Plutonu Łączności, rzeczywiście jeszcze dzieci. Oni też są do niej bardzo przywiązani, a dowodem tego jest mały szary kot „Drucik”, którego jej ofiarowali na imieniny.

Kantynowy wóz wędruje od oddziału do oddziału, ma ich przecież na rozkładzie dziennym co najmniej trzy. Kiedy oddziały są w akcji, nie można ich obsługiwać bezpośrednio, tylko przez podoficerów żywnościowych, którzy zawożą chłopcom na linię kantynowe skarby. Zawsze jednak któryś z batalionów jest w odwodzie i tam jest stała, otwarta dla wszystkich kantyna. I tak jest codziennie, że Krzysia wyjeżdża rano z jedną z koleżanek do oddziałów, a dwie pozostałe pracują w kantine.

Okolo 11-tej ruch jest największy. Hanka i Wanda, wydające z za lady gorące napoje, kanapki, ciastka i towary, wyglądają z daleka jakby tańczyły jakiś charakterystyczny taniec w duecie. Zsynchronizowanymi ruchami schylają się do wiadra po napoje, stawiają filiżanki, nakładają ciastka i kanapki, przesuwają talerze, biorą i wydają pieniądze. W nieprzerwanym rytmie obracają się, schylają, podnoszą i znowu obracają się, schylają, podnoszą.

Od czasu do czasu Hanka, nie odwracając głowy (bo nie ma na to czasu), woła do przechodzącego Włocha: „subito, bicchieri!”, co oznacza, żeby pośpieszył się z myciem i zbieraniem szklanek. Zdarza się też klient wymagający, któremu trzeba

grzecznie, ale stanowczo wytłumaczyć, że jeden żołnierz nie może brać 10-ciu porcy, nawet dla kolegów, bo kolega to samó dostanie w oddziale, który otrzymuje na stan wszystko, co wydaje się w kantine. Zdarza się czasem, że pretensje bywają wypowiadane raczej mocnym tonem, ale już wtedy czekający na swoją kolejkę żołnierze uspokajają skutecznie kolegę i kantyniarce duet dalej pracuje w rytmicznym tempie: filiżanka — talerz — filiżanka — talerz. A dwie nieustannie koleżki z wolna przesuwają się od drzwi do lady, od lady do stolików.

Przed pierwszą ruch słabnie.

A kiedy po pierwszej drzwi już są zamknięte, Hanka i Wanda przecierają oczy, jak ludzie zbudzeni ze snu.

Jak szybko mijają 2 godziny po południowej przerwy! Obiad zjedzony w pośpiechu, sprzątanie, a potem znowu rosną stopy kanapek i ciasta, wszystkie kotły, wiadra i termosy napełniają się znowu gorącymi napojami.

O godz. 14-tej przyjeżdża wóz z Kompanii Kantyn z pieczywem i owocami. Małta Tereska, kierowniczką dużej Dodge'y, oddaje Hance rachunki, pocztę dla całego zespołu, przydziela NAAFI starannie opakowany i popijając kakao, opowiada najnowsze kompanijne wydarzenia. A kiedy wóz jest rozładowany, szybko całuje obydwie koleżanki i jedzie do innych kantyn.

W godzinach przedwieczornych kantyna wygląda inaczej niż rano.

Do lady tłoczą się żołnierze jeszcze bardziej, ale za to przy stolikach, często po dwóch na jednym krześle (kantyna jest zawsze za mała), siedzi roześmiane, rozśpiewane bractwo. Tu grają w domino, tam w warcaby, w kącie batalionowa gwiazda, siwy harmonista wygrywa kujawiaki i oberki, otoczony ciasnym kręgiem żołnierzy, między którymi sledge Krysia. Nuci melodie po cichutku, a potem coraz głośniej i głośniej, a w kantine robi się cisza, jak makiem siał, i Krysia śpiewa pełnym, dźwięcznym głosem. Śpiewa o myciach i zbieraniu szklanek. Zdarza się też klient wymagający, któremu trzeba



W kolejce przed kantyną

(fot. K. Hryniewicz)

„Jeśli kochać chcesz, to jedź do Lwowa”, o królu, co mieszka za górami, za lasami, a potem już cała kantyna zanosi się śpiewem i muzyką. Nawet zawsze poważna Hanka, podśpiewując, nalewa herbatę i roześmianym, oczami patrzy na swoją kantynę.

Wtedy właśnie, kiedy widzi uśmiechnięte zadowolone twarze, kiedy czuje, że dobrze jest w tej chwili tym chłopcom, którzy wczoraj zeszli ze stanowisk, a jutro znów pojdą w ogień — wtedy czuje się naprawdę, głęboko szczęśliwa. — Boże drogi — myśli — żeby im było dobrze, jak najlepiej. Żeby mieć sześć rąk, zamiast dwóch, i trzy razy tyle towaru, to byłby dopiero raj! Nie byłoby trzeba ciągłych ograniczeń, odmawiania żołnierzowi jeszcze jednej porcji. A tylko Bóg jeden i kantyniarka wiedzą, jak to ciężko odmawiać. To chyba najgorsza plaga kantyniarskiego życia.

Po 7-mej, mimo protestów, kantynę trzeba zamknąć i po rozgłoszonych „dobranoc”, „dowiedzenia”, „czcłem”; kantyna jest pusta.

„KRESOWA” W NATARCIU NA KAWĘ (Z pierwszej linii Kantyn)

Mieszkamy w mieście, nad którym strzela artyleria. Nikt się tego strzelania nie boi bo trudno przecież posadzić żołnierzy obu płci o nieoswojenie się z hukami. Przyzwyczajeni do drgania szyb, do górskiego echa przelatujących pocisków, do świstów przewlekłych i różnokątowych koncertów, żyjemy, normalnym frontowo-prowincjonalnym trybem. Bywają wypadki, że spodkojny i rytmiczny ogień nękający przechodzi nagle w nawałę lub zapórę, w huraganowe, potężne strzelanie. Można wtedy zauważyć objawy różnych podnieceń, niejednego starego wojaka można przychwycić na drgnieniu powiek.

W czasie największego zamętu, własnej zresztą — bo o takiej tu mówię — artylerii, najbardziej i najprzyjemniej siedzi się w kantynie. Pojęcie kantyna zmienia się tak często, jak często zmienia się rejon zakwaterowania. Pod wyrazem tym nie należy rozumieć nic złego, ani nie nad-

zwyczajnego, nie wolno szukać w nim filozofii ni metafizyki. Trzeba tłumaczyć skomplikowany w sposób najbardziej częściej normalny, duży pokój zastawiony stolikami, wypełniony miłą domową atmosferą, pełny żołnierskich mundurów i przydługich tajemnic wojskowych, że ta skromna „casa occupata per caninych i sympatycznych pań, czterech wyznawczyń Apokalipsy, z których jedna głównodowodząca musi być, a zatem jest w stopniu sierżanta. (Najbardziej prywatnie moim życiu, których w pełnym poszanowaniu całowaliśmy w rękę.)*)

*) Czy autor nie wie o tym, że ochotniczek nie wolno całować w rękę? (Przyjęcie Redakcji).

Dywizja ma trzy kantyny. Dowodzą nimi sierżanci: Stasia, Maryla i Marysia. Sierżant Maryla nosi gustownie udrapowany fartuszek, krząta się po sali i, jak cała podlegający jej personel, wojuje ciastkami. Pani Stasia, mimo, że nie nosi fartuszka, robi smaczne i pikantne kanapki. W godzinach służbowych, jak wszyscy zresztą żołnierze w czasie wojny, są niechwytni i prywatnie wywiadów nie udziela. Można z nimi rozmawiać dopiero po zakończeniu pracy i wtedy służą niezmiernie cennymi informacjami.

— Jak wygląda Pani wyjazd w teren? — zapytuję jednej z kierowniczek.

— Bardzo prosto — odpowiada mi wcale nie sierżantkim głosem i, wyjaśniając tajemnice tej bojowej operacji, mówi: — Mamy swój własny wóz. W dniach, kiedy jedziemy do oddziałów w polu, kiedy wzięliśmy im wszystko to, czym dysponujemy, ciężar gatunkowy naszej pracy ulega zmianie. Same ładujemy towar, żołnierze są na góry zawiadomieni o naszym przyjeździe i na miejscu przeznaczenia rozwijamy przedsięwzięcie. Tym miejscem jest najczęściej, w obecnych warunkach, jakaś stara rudera, jakieś wolne mieszkanie, które nagle zamienia się w sprawnie prosperujący sklep. Długie kolejki stoją przed zaimprowowaną ladą, wysprzedajemy przewieziony materiał i w godzinach popołudniowych wracamy do bazy. Przyjemne jest to, że stosunek żołnierzy jest do nas, kantyniarskiej pracy pozytywny.

Nie wiem dlaczego, ale słuchając tych informacji, doszedłem do wniosku, że na ramiennik pani kierowniczkę staje się mój im kompleks psychiczny. Wydało mi się, że stoją w obliczu jakiejś komizmickolizji, że przyzwyczajenia i prawidła, jakich nauczyła mnie wieloletnia służba, czynają się chwiać. W sposób możliwie dyskretny wycofałem się z rozmowy i całą swoją manię prześladowczą wyładowałem na cierpliwie słuchającej moich wywodów pani Halince.

— A ja jestem kierowniczą, proszę pani — wyrzuciła we mnie bez mrugnienia okiem panna Hala. Mój Boże kochany — pomyślałem sobie, tyle jest kierowniczym Korpusie, że jeszcze jedna z Kompanii Kantyn nie robi różnicy. I pomyślałem sobie, że jeszcze jedna z Kompanii Kantyn Bo właśnie robi, robi kolosalnie dużą, poza normalną pracą w ciągu dnia, poza gotowaniem kawy i krajeniem chleba, poza tym wszystkim, na co się składa dzienne kantyniarki, kantyniarka — drajwerka włożywszy kombinezon, wiazi pod wóz — Dodge z napisem „Halszka” — i kluczem płaskim Nr. 5 dokręca śruby. Potem nalewa benzynę, zmienia olej, kręci zupełnie poprawnie kierownicą i nie myli się w używaniu gazu i hamulca.

Wiele czytelniczek i wielu czytelników tego reportażu może posądzić mnie o egzaltację i może powiedzieć: — nie baw się w ogrodników i nie przesadzajmy. — Mam na to gotową odpowiedź. Ja też kieruję serwowuję samochód, też łamię sobie palce na jego twardych częściach, ale mnie nie po takiej operacji nie odwiedza i w moim własnym domu mogę, ponury jak noc, kluczem swój szoferki zawozić. Natomiast panie w kantynach muszą być zawsze uśmiechnięte, muszą być miłe, sympatyczne, koleżeńskie i pogodnie nastrojone. Na tej krótkiej i prostej podstawie sugeruję jak najlepiej opinię o wszystkich kierowniczkach naszych Polowych Kantyn. Zasłużyły w pełni na mocny i serdeczny uścisk dłoni wszystkich żołnierzy „Kresowej”.

W momencie, kiedy piszę ten szkic, odbywa się istne natarcie na kawę. Publiczność, która uwierzyła w hasło „obsługujemy się sami”, wielkim mrowiem oblega bufet aby po zaopatrzeniu w standaryzowaną i sprawliwą porcję, opanować generalnym atakiem stoliki. Nie brak między nami żołnierzy innych armij. Trójkąty angielskich podoficerów, znaki rozpoznawcze Nowozelandczyków, czarne włosy Greków i najliczniej reprezentowane „Polandy” w komitywie wspólnego boju o podwieczorek — wypełniają pokój. W odległym, przyćmionym kącie gra pianino, mięszają się melodie polskie i brytyjskie, od czasu do czasu wybuchają chóry.

Sierżant Maryla chodzi po swoim królestwie, uśmiecha się i słusznie zadowolona z wykonywanej pracy, pyta mnie o wrażenia. Wrażenia są proste, tak samo jak kantyna, proste i najlepsze. Wiem, że trzysta metrów dalej pani Stasia ma dzisiaj występ orkiestry i że każdy Wilk, Ryś, czy Lwowiak przyjemnie spędza czas. Do mojej nieoczekiwanej odkrytej świadomości wdziera się głęboki przymus moralny odwołania tego wszystkiego, co na wstępie napisałem o sierżantach. Te stopnie są słuszne i rozsądne, bo praca, jaka się pod nim kryje, w niczym nie ustępuje pracy wielu mężczyzn. Jeżeli kobieta jest w wojsku, mieszka w takich samych, jak to wojsko, warunkach i jeżeli zadania, jakie wykonuje, zająłaby się z ogólną maszyną, to jej równouprawnienie w hierarchii szarż nie może być kwestionowane.

Stały bywalec kantyn mógłby napisać o nich tom. Tych kilka zdań ma nieco odrębny cel. Przeznaczeniem ich jest wyrażenie wdzięczności organizatorom, podkreślenie sensu istnienia tych placówek. W szary przyfrontowy wieczór, w wieczór chwilowego odwołu zastępuje nam wszystko to, co dawniej nazywało się kulturalną rozrywką. Bo przecież nie chodzi się do nich tylko po to, aby jeść i pić. Chodzi się po to, aby w otoczeniu ludzi wesołych, ludzi silnych i młodych zapomnieć o tak często wracającej tęsknocie i smutku. Atmosfera i nastrój miejsca, w którym przebywa się, ma przemożny wpływ na całokształt układu psychicznego. W niewielkim prawdopodobnie będą błędnie, jeżeli powiem, że kantyny „Kresowej” najodważniej i najbardziej skutecznie zaatakowały wszystkie objawy żołnierskiego zamyslenia, zrozumiatego po powrocie z odcinka. Sądzę, że nie będę się mylił, jeżeli w księdze zasług Dywizji zapiszę pod rubryką — „Kantyny”:

„Okazywały nam dużo serca i były z nami wszędzie tam, gdzie mogą być kobiety polskie”.

Witold Sz.

**KOLEŻANKI,
czytajcie
i rozpowszechniajcie
Wasze pismo:
„Ochotniczka”**



Pogrzeb ś. p. H. Gromulskiej

(fot. A. Paduch)

Ś. p. HENRYKA GROMULSKA

Dnia 19.I.1945 na jednym z cmentarzy wojskowych na linii frontu odbywał się cichy pogrzeb; ksiądz w asyście żołnierskiej, zwarte szeregi honorowego plutonu, wieńce i tłum mundurów za trumną. Jeden z pogrzebów wojskowych jak tyle innych, które się tu przesunęły, o czym świadczą rzędy białych krzyżyków. Lecz czym różni się ten pogrzeb od innych? Komenda — „prezentuj broń”, podana czytem lecz wysokim głosem, smutne dziewczęce oczy patrzące z pod hełmów, przeżoga kobiecych mundurów — pogrzeb ochotniczek z Kompanii Transportowej.

Henryka Gromulska ur. 20.III.1919 r. w osadzie Brzozówka — powiat Mińsk Mazowiecki, z zawodu kancelistka, ukończyła

seminarium nauczycielskie w Słonimiu w 1937 r. Wywieziona do Rosji, wydostaje się wraz z cywilną ludnością, by 9.IX.1942 r. wstąpić w szeregi P.S.K. Rozpoczyna swą pracę jako kierowniczy w jednej z pierwszych kompanii transportowych w styczniu 1943 r.

Zginęła dnia 18.I. b. r. na posterunku, zgnieciona tym samym wozem, który do tego czasu nie zawiódł w jej rękę. Była jedną z tych cichych pracownic, które w niewdzięcznym trudzie nie szczeni swych sił dla wielkiego celu. Zginęła śmiercią żołnierza, jak ci, którzy z karabinem w ręku, walcząc dla tej samej sprawy, na tym samym spoczywają cmentarzu.

Cześć Jej pamięci!

PYTANIA NOCNE

Za zasłoną jest mrok. W czarnym mroku śpi mgła.
W mglistym mroku słychać głosy i kroki.
Krąży cicha codzien, krąży ślepa jak cma
w obcym mieście, w nocy czarnej, głębokiej.

A co będzie za rok? A co będzie za dwa?
Czy odpocznie z wami, przy was — nareszcie?
Czy wybuchnie twój krzyk? Czy potoczy się łza?
Czy zobaczę siebie znów — w swoim mieście?

Bo za dużo już lat i za dużo tej mgły,
zwątpień, wierszy i rozważań i czekań,
bo zbyt czarna ta noc, w której jasno się śni
Ta co jest. Ta co trwa — choć daleka.

Czy wybiegniesz przed drzwi? Czy ci padną do nóg?
Czy przytulisz, jak w dzieciństwie, do siebie?
(już za wielki mi świat i za wiele mi dróg...)
„Co ci dać? Czego brak?” — „Tylko siebie...”

Pewno zbraknie mi łez i zabraknie mi słów
prócz tych kilku, które brzmią jak piosenka.
Spytasz: „Dziecko, to ty?” — powiem: „Matusi, ja znów...
znów przy tobie, w twoim życiu, w twych rękach...”

Może tylko już rok? Może jeszcze nie ten?
Czy wytrzymam? Czy doczekasz, dożyjesz?
Powiedz tylko, że tak. Słyszysz — bije Big Ben...
Jeszcze jedna godzina przemija...

Londyn w styczniu

Halina Terlecka



DAR 2 KORPUSU DLA OJCA ŚWIĘTEGO

Żołnierze 2 Korpusu ofiarowali Ojcu Świętemu wielki ryngrof, artystycznie wykonany w polskich kompaniach warsztatowych. Wręczenia dokonał Dca 2 Korpusu gen. Władysław Anders, któremu towarzyszyli: Szef Duszpasterstwa 2 Korpusu Ks. C. zastępca szefa SWEM, mjr G. (projektodawca domu) oraz plut. P. i kpr. B. dwaj główni wykonawcy ryngrofu. Delegację wprowadził ambasador R. P. p. Kazimierz Papee; obecni byli podczas audiencji J. E. Ks. Biskup Polowy J. Gawłina, gen. Duch i inne osobistości.



Most Kierbedzia i Zamek Królewski w Warszawie od strony Pragi

CZĘSTOCHOWSKA

I.

Gdy sima drogi na żelazo przekuwa,
gdy nad nagim lasem zmarznięty księżyc czuwa,
gdy zblakany człek po szyję w śniegu grzeźnie,
— któż to przepływa górą, ledwie muskając gałęzie?
Od świętej twarzy i złocistego płaszczka
ucieka wilk, kryje się, warcząc, w chaszczce,
ptak zniebity do stóp jaśniejących przypada,
podróźny nabiera tchu, raźniej nogami włada
i szepee — a jako szrouu ślup wygląda każda zgłoska: —
„Daj mi do domu zdrowo dojść, o Matko Częstochowska”.
Gdy zachoruje dziecko w domu jakim na Mazowszu,
gorączkuje, dusi się i kaszle, i zdaje się, że już nie będzie
zdrowsze,
gdy zaśnie na fotelu obok łóżka pielęgniarka lub służąca,
a serce bije mocno tak i głowa tak gorąca,
— któż to zbiega, jak jasny obłok, po ścianie,
kto dźwięka złotem płaszczka, szeleści nim po dywanie,
kto z obrazu zszedł i pochylony nad chorym czuwa,
kto zmienia okład, poduszkę wyżej podsuwa?
— Oczy jaśniejsze od gwiazd, a na ustach o dziecko
troska...
... To Częstochowska Pani, o miłe moje, to Matka Boska.
Gdy trudny dzień dla żołnierza i chwila najtrudniejsza,
gdy odwaga uchodzi, a ciepłowość się zmniejsza,
gdy opuszcza go swój, ranionego na polu,
i krew już nie uchodzi, a rany bolą, bola...
— któż to przez drut koleczasty przeszedł, przez leje
pocisków,

kto trzyma mdlejącego w bezpiecznym uścisku,
 kto z ciemnym obliczem, przeciętym podwójną blizną,
 jest umierającemu i matką i ojczyzną,
 tym, co kochał, co czeił, za co walczył, za co mu zginąć
 przychodzi?

I uśmiecha się żołnierz młody coraz weselej i słodziej:
„Oto ręka matczyzna... oto strzecha ojców... oto rodzinną
 wioską...
 W ręce Twoje... z Tobą wzwyż, o matko... Matko Boska
 Częstochowska...”

II.

Pójdziemy się Jej pokłonić szeroką, szeroką ławą,
późną wiosną, drogami, powleczonymi kurzawą;
pójdziemy pośród zbóż, co bławatki wyrzucają na brzegi,
wychodząc wczesnym rankiem, obierając wczesne noclegi,
śpiąc pokotem wśród modlących się i modlący się sami,
pójdziemy późną wiosną polnymi i bitymi drogami.
Uwijemy wieniec olbrzymi, wian niebieski, czerwony
i płowy,
zanieśmy go, pielgrzymując wszyscy razem do
Częstochowy.
Z wiernością Czarnieckiego, z Kordeckiego sercem
płonącym
pójdziemy do naszej Matki, my dzieci, Jej miłość czując,
by paść do nóg Jej, i podniosłszy oczy ku Niej nieśmiało,
ujrzeć Jej ciemne oblicze, odziane w złocistą chwałę.

Kazimiera Iłakowiczówna



Ucieczka do Egiptu (Gentile de Fabriano) Florencja, Galleria Uffizi.

Honorowa obywatelka Warszawy

Eugenia Kierbedziowa

Pięć osób otrzymało w odrodzonej Polsce obywatelstwo honorowe stolicy: Marszałek Józef Piłsudski, Ignacy Paderewski, Marszałek Foch, Maria Skłodowska Curie i Eugenia Kierbedziowa. Cztery pierwsze nazwiska osiągnęły rozgłos światowy i należą do historii zarówno naszej, jak całej ludzkości. Zasługi Eugenii Kierbedziowej dotyczą dziedziny społeczno-kulturalnej w Polsce. To sprawiło, że mimo popularności jej nazwiska, ogół właściwie nie wie, co spowodowało tak zaszczytne wyróżnienie tej kobiety.

Eugenia Kierbedziowa jest córką generała inż. Kierbedzia, którego dziełem jest most łączący Warszawę z Pragą. Wyszedłszy zamaż za inż. Stanisława Kierbedzia, postanawia wraz z nim zużytkować swoje duże zasoby materialne na rzecz kraju i jego stolicy. Działo się to jeszcze w tych czasach, kiedy każda placówka kulturalna miała również ogromne znaczenie polityczne dla narodu bez państwa.

Wszystkie fundacje E. Kierbedziowej pomyślane były celowo i świadczą przede wszystkim o głębokim zrozumieniu potrzeb kulturalnych. Z tej myśli powstał więc w roku 1903 w majątku państwa Kierbedziów w Inflantach, w Rybniskach, Dom Wypoczynkowy dla ar-

tystów. Przez trzy czwarte roku wypoczywali tam i pracowali malarze, rzeźbiarze, muzycy i literaci. Dla uczniów Szkoły Sztuk Pięknych wyznaczony był trzy miesięczny pobyt. Między innymi, gośćmi Domu Wypoczynkowego byli artyści tej miary jak Kowalewski, Kuna, Noskowscey, Ziolkowie i w. i.

W r. 1912 rozpoczęła E. Kierbedziowa budowę gmachu Biblioteki Publicznej przy ul. Koszykowej w Warszawie. Projektował inżynier Marconi, uwzględniając wszystkie potrzeby instytucji, jej rozrost, duże zbiory książek i frekwencję czytelników — od ludzi nauki i studentów do uczniów szkolnych i... zwykłego przechodnia. W roku 1918 Biblioteka oddana została przez fundatorkę na własność stolicy wolnego już państwa. Biblioteka była odtąd chlubą i potrzebą miasta. Jej długi front w boczny jednej z najruchliwszych ulic Warszawy, Marszałkowskiej, rozpadł się w gruzy, księgozbiory przepadły, ale jeżeli został fundament, nowa Warszawa wskrzesi myśl i dzieło Eugenii Kierbedziowej.

Również w roku 1912 rozpoczyna p. Kierbedziowa w Warszawie budowę Akademii Sztuk Pięknych według projektu arch. Gravier. Gmach ten, znajdujący się na Wybrzeżu Kościuszkowskim, oddany został do użytku w r. 1923. Pomyślany nowoczesnie, mieścił w suterenach warsztaty sztuki stosowanej, na pierwszym i drugim piętrze pracownie malarskie, rzeźbiarskie i architektoniczne, oraz na parterze aulę na 300 słuchaczy. Ponadto taras dla pleinair'u.

W pobliżu, na Tamec, stanął gmach Szkoły Przemysłu Ludowego, ufundowany przez E. Kierbedziową, a przekazany miastu w r. 1925. W odrodzonym Państwie opieka nad sztuką ludową, powrót do jej motywów, propagowanie jej piękna stało się jednym z najaktualniejszych zagadnień kulturalnych. Wystawy tej sztuki w gmachu Szkoły, bazar, warsztaty cieszyły się zasłużoną sławą.

To było dla Warszawy. Ale i w innych miejscowościach Polski powstały gmachy publiczne fundacji p. Kierbedziowej. W Ołtarzewie, położonym o kilkanaście km od Warszawy — Szkoła Pracowników Kooperatyw, w Drewnicy — Pawilon dla rekonwalescentów i Pawilon Obserwacyjny dla umysłowo i nerwowo chorych. Nie zrealizowany na skutek pierwszej wojny światowej projekt Domu Ludowego w Częstochowie, miał służyć pielgrzymom, zdążającym z wszystkich stron kraju do Jasnej Góry. Zakupiony i skanalizowany plac pod budowę tego Domu czekał lepszych czasów.

Pani Kierbedziowa, zagrożona chorobą płuc, od dziesiątek lat przebywa w Rzymie. Tu też zastała ją druga wojna światowa, tu dochodzą ją wiadomości z Kraju, niszczonego przez okupantów. Tyle dzieł jej życia, tyle nieocenionych placówek, powstałych z jej obywatelskich uczuć i dobrze pojętych obowiązków — legło w gruzach, dzieląc los Warszawy. Wie, że już nie udźwignie własnymi rękami tego, co tworzyła, ale wierzy, że znajdą się ludzie, którzy podejmą znowu ten potrzebny trud.

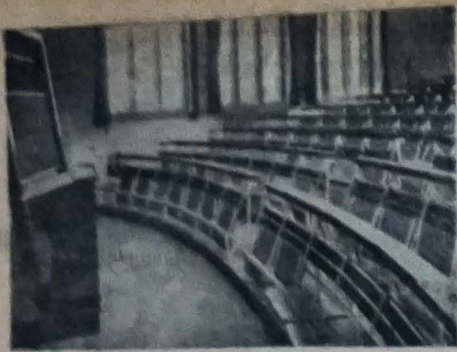
W tamtych, młodych jeszcze latach, kiedy pani Eugenia Kierbedziowa, pełna inicjatywy i zapału, wznosiła gmachy szkolne i zakłady społeczne, była



Dom Wypoczynkowy dla artystów w majątku Rybniskach w Inflantach



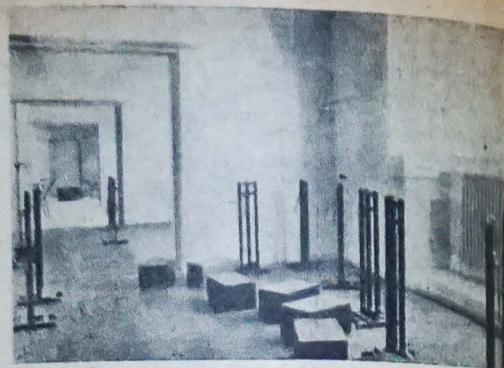
Szkoła Sztuk Pięknych w Warszawie od strony podwórzca



Sala wykładowa w Szk. Szt. Pięk.

tak samo skromna, jak dziś. Jeżeli nie ominęło jej tak bardzo zasłużone uznanie, stało się to za sprawą osiemnastu organizacji i stowarzyszeń kobiecych — bez różnicy przekonań politycznych — które zwróciły się do Prezydium Stolicy o wyróżnienie kobiety. W r. 1929 Eugenia Kierbedziowa otrzymała honorowe obywatelstwo, jako druga, obok sławnej Skłodowskiej Curie, przedstawicielka kobiet polskich, które dobrze zasłużyły się krajowi i narodowi.

Hanna Mirecka



Pracownia malarska i rzeźbiarska

„Żenszczyzny s lebiediem“

(po polsku: „Kobiety z łabędziem“)

Lagier. Sekaradne baraki, zasypane śniegiem. Za drutami bezkresna, biała przestrzeń. Po śniegu brną ludzie w ciężkich „wałonkach“, ubrani w watowane spodnie i „tietogiejki“. To „zakluczeni“.

Ja też znalazłam się wśród nich. Wprost z więzienia przysłał mnie tutaj, do „lagieru“, do Maryjska (Nowosybirskaja obl.).

Siedząc wysoko na narach, pod sufitem, myślałam: co dalej? Do jakiej roboty mnie przydzielą?

Wtem drzwi się otworzyły. Wszedł gruby „naczałnik“, za nim przyboczna świta. Bezcelne gęby, wojskowe czapki. Przechodzą obok nar. Przegląd. Zatrzymali się przy mnie.

- Wy kto?
- Polka.
- Kakaja specjalność?
- Chudożnica. (art. malarka)
- Charaszo, budietie rabotat' w chudożestwiennym cechu.

I tak się stało. Tego samego dnia jeszcze, z bijącym sercem stanęłam przed barakiem. Pchnęłam drzwi i oto znalazłam się w malutkim, ciepłym pokoiku. Najpierw rzucił mi się w oczy tygrys, rozpięty na wielkim płótnie. Był wielki, przegowany z szeroko rozwartą, krwawą paszczką.

Przed tygrysem, z pędziem w ręku, stał wysoki mężczyzna. Na skrzywnięcie drzwi, odwrócił się i wówczas ujrzałam bladą nerwową twarz. Na wysokie myślicie czoło spadały ciemne, faliste włosy.

Wygląda zupełnie jak artysta filmowy — pomyślałam. Aksamitna, szaro-zielona kurtka podkreślała tę filmowość. To, co uderzyło w nim najbardziej, to jego „europejskość“. Pierwsza „ludzka“ twarz. „Wolni grażdanie“, których dotąd spotykałam — to byli poprostu barbarzyńcy o prostackich twarzach i jeszcze bardziej prostackim głosie.

Anatol Michalowicz był pierwszym cywilizowanym człowiekiem — ale był więźniem. Pótniej zrozumiałam, że niemal cała kulturalna Rosja siedzi w łagierach i więzieniach.

Zaczęła się moja praca w „chudożestwiennym cechu“. „Zawiedujuszczym“ był Anatol Michalowicz, człowiek wszechstronnie utalentowany, aktor i malarz zarazem.

Kolebry moi byli malarzami różnego pokroju i zdolności. Najzdolniejszym wśród nich był Aleksander Wasiliewicz, który znał świetnie historię sztuki i zachwycał się impresjonizmem francuskim.

Tragedią tych ludzi było to, że musieli malować wciąż te same obrazy dla „zakazcykow“.

Gdy jeden z głównych „naczałników“ zamówił sobie obraz, wówczas wszyscy mniejsi „naczałnicy“, nie chcąc pozostawać w tyle, zamawiali to samo. Stąd więc w całej okolicy Maryjskiej, wszyscy potentaci, od największego do najmniejszego, mieli ściany zawieszone tymi samymi „kawiorami“.

Kawiorom nazywali wielkie płótno z jakimś bohodem, które zawieszano się zamiast dywanem nad łóżkiem.

Jak wyglądała nasza praca malarska? W pracowni był komplet kolorowych pocztówek, zbieranina dzieł różnych znanych i nie znanych malarzy rosyjskich. „Zakazcyk“ oglądał najpierw te pocztówki, a potem wybierał sobie jedną i kazał z niej zrobić wielką kopię, mającą niekiedy rozmiary „kawioru“ (dywanu).

Tematy, cieszące się największym uznaniem, można było podzielić na dwie grupy: dziko-krwawe i sentymentalno-bajeczne. Specjalistą od takich był Aleksander Wasiliewicz. Z pod jego ręki wyskoczyło ze 30 „tygrysów“ i niezliczone ilości „Iwanów Groźnych“ (scena przedstawia cara, mordującego własnego syna, dywany, pełno krwi).

Na widok „tigra“ lub „Iwana Groźnego“ zakazcyk stawał w zachwycie i, wietrząc krew nozdrzami, wykrzykiwał: „zamiczatielno“ lub „krasota“.

Większą popularnością jednak cieszyły się tematy bajeczne. Obraz p. t. „Skazka“ nigdy nie schodził ze sztalugi. „Gdy jeden łeb udrze, drugi rośnie skoro“. Wszyscy go malowali, ja też musiałem niestety. Na tle dzikiego boru, pochylony nad źródłem ogonem. O szyję konia oparła się młoda obnażona dziewczyna, w powłóczystej szacie z obnażonymi piersiami. Rozpuszczone wiotki włosy, klejnoty... Po zielonej wodzie „skazka“...

Nie mogliśmy już na to patrzeć. Ale powodzenie ogromne. Każdy stawał przed „krasota“...

Wasia, mistrz od „skazki“, dokazywał cudów. W ciągu dnia obraz był gotów. Nimfa zawieszona dokładnie klejnotami. Każdy włos grzywy i ogona rumaka — zafrzywany. Wasia malował i śpiewał całą pierwszą pieśń o „brodziadze“. W pieśni często powtarzał się motyw „daliok bradiagu put“... Wiąż nowe nimfy suknie niebieskie, a czasem czerwone, załadnie od natchnienia młodego malarza.

Wasia nie miał żadnego pojęcia o sztuce. Ale malował z fotograficzną dokładnością i „czystienko“, a to było najważniejsze.

Na drugim miejscu obok „Skazki“ stał obraz p. t. „Żenszczyzny s lebiediem“ (kobiety z łabędziem). Temat nadawał się najbardziej na „kawior“. Scena rzymska. Dwie rzymianki w rozkasznych pół-leżących pozach, w przezroczystych tunikach obserwują łabędzia, który pływa po sadzawce, wyłożonej różowym marmurem. Dokoła panuje atmosfera zbytku i słodkiego rozleniwienia. Obie kobiety mają śliczne, różowe paluszki, są wypieszczone i wypielęgowane. Od razu widać, że całe życie nic nie robiły i nic robić nie będą.

Ten „kawior“ przypadał najczęściej do gustu, zachęcał jeszcze bardziej niż „skazki“. Zakazcyk już nic nie mówił, tylko bez słowa zamawiał olbrzymich rozmiarów kopie.

Pewnego dnia przyszedł pewien młody naczałnik i zamówił sobie „żenszczyzny s lebiediem“, aby je zawiesić nad łóżkiem. Gdy były gotowe, zabrał je na sanie i pojechał. Po pewnym czasie zjawił się znówu i obstałował znówu taki sam bohodem. Pytamy zdziwieni, pocóż mu dwa kawior? — powiedział, że jeden dla niego, a jeden dla matki. W tym samym mieszkaniu aż dwa płótna z rzymiankami i łabędziem.

Nigdy nie zapomnę malarza Andrejewa. Starszy już, zasuszony, mały człowieczek, przez szereg lat siedział nad „żenszczyznami s lebiediem“. Był to widok komiczny i żałosny zarazem. Andrejew malował je i czasami z ponurą nienawiścią, a czasem z cichą rezygnacją, a na jego wąskich wargach pojawiał się nieraz dziwny, prawie obłądny uśmiech.

Andrejew był coraz smutniejszy i chudł coraz bardziej, ale zato coraz więcej rzymskich rzymianek z białym łabędziem wychodziło poza kolczaste druty łagieru — w świat wolnych grażdan.

Z początku śmiać mi się chciało z dziwnych zamiarów nabywców takich właśnie tematów. Ale potem zrozumiałam. Ludzie zmęczeni ciągłą szarżyzną dnia, kraszonogiem jedynie „łożungami“ (hasłami), tęsknią do czegoś innego. Te bajeczne, nierealne obrazy, te wypieszczone kobiety były przeżyciem ich ciężkiego, roboczego życia. „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajetcia.“

A te śliczne kobiety żyły bez hałas i miały pałac marmurowy i delikatne, do pieśczeń stworzone ręce, ręce, które nigdy nie dotknęły traktora. To nie ważne, że obraz był brzydki, jak oleodruk, mdły

kolorowy, ważny był temat, który choć na chwilę dawał iluzję innego życia.

Nimfa z dzikiego lasu nie widziała nigdy kominów fabrycznych i nie rzucała dyskiem na zawodach, ale miała faliste, rozpuszczone włosy, złotą, aż do ziemi suknię, a na smukłej szyi perły...

Malowali te bohemy „zakluczeni“, ludzie głęboko nieszczęśliwi, którzy może już nigdy nie wrócą do domu. Ludzie, których pożywieniem był chleb i „bałanda“ i którzy dla tego chleba i bałandy musieli malować. Bo gdy ktoś nie wymalował normy, przechodził na drugi kocioł, a to znaczyło — głód.

Norma! Zdawałoby się, że nie można malować „na tempo“. A jednak, i tu trzeba było „wyrobotat“ normy.

Tygrys, Iwan Groźny i t. d. musiały być

wykonane w ciągu tyłu a tyłu dni. Gdy nie mogłam czasem nadążyć z jakąś kopią (a chciałam to zrobić mniej więcej po ludzku) — dobry przyjaciel Aleksander Wasiliewicz zasiadał na kwandras do mojej sztalugi i paru wprawnymi ruchami pędzla — wykańczał dzieło. Chodziło o to, by obraz „delał wid“ wykończonemu.

Tu „blik“, tam „blik“, kopia niby to jest gotowa i czeka tylko na okrzyk — zakazczyka: „krasota! Gdy miałam czasami skrupuły, Aleksander Wasiliewicz machał ręką, mówiąc: „prajdiot“!

Obaraz cenilo się według rozmiarów, oraz ilości dni zużytych na jego malowanie. Wśród malarzy byli też stachanowcy, którzy przewyższali normy, wypuszczając w świat nadprogramową ilość olejnej tandety.

Gdy przychodził zakazczyk w walonkach oblepionych śniegiem i z policzkami wyszczypanymi od mrozu, zawiedujuszczym o prowadzał go po pracowni, mówiąc: „żenszczyzny s lebiediem“ — trzy dni — 30 rubli, „tigr“ — 5 dni — 50 rubli i t. d. Biedny Aleksander Wasiliewicz! Tego mi było żal najwięcej. Zdolny, utalentowany rysownik, który naprawdę kochał i rozumiał sztukę. Z prawdziwym obrzydzeniem malował tigr i krwawych Iwanów.

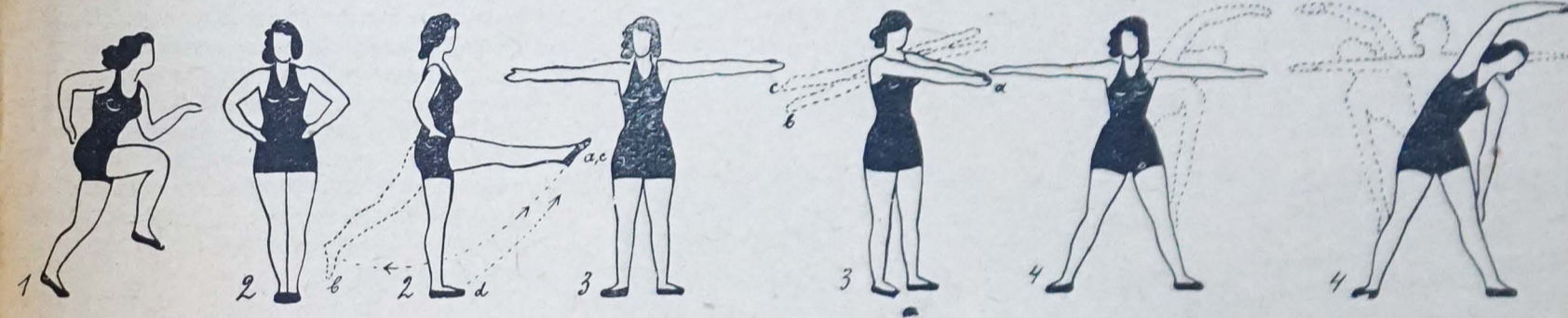
Siedzieliśmy nieraz sztaluga przy sztaludze i malując różne paskudztwa, rozmawialiśmy o wielkich malarzach — o Rembrandcie, o Giotto i o Van - Gogh'u.

Zapominaliśmy wtedy na chwilę o łagierze i normie.

M. R.

GIMNASTYKA DLA OCHOTNICZEK

Wzorzec Nr 2



1. Marsz na palcach, lekki bieg, marsz na palcach.

W razie braku odpowiedniego miejsca — marsz i bieg wykonać na miejscu, na palcach, unosząc jak najwyżej kolana.

2. Postawa, stopy zwarte, ręce na biodrach.

a) Na raz! — Wymach lewej nogi w przód. Noga w kolanie wyprostowana, palce w przód. Tempo szybkie.

b) Na dwa! — Wolny przenos nogi w tył.

c) Na trzy! — Szybki wymach nogi w tył.

d) Na cztery! — Powrót do postawy. To samo nogą prawą.

3. Postawa, mały rozkrok, ramiona w bok, dłonie na przód.

a) Na raz! — Wymach ramion w przód i kłaśnięcie dłońmi.

Ramiona proste w łokciach

b) Na dwa i trzy! — Wymach ramion w tył.

c) Na trzy! — Mały przedmach i pogiębienie wymachu.

Nie opuszczać ramion w dół. Dłonie na wysokości barku.

4. Postawa, rozkrok, ramiona w bok.

a) Na raz! — Skłon tułowia w lewo z uderzeniem dłonią lewej ręki o kolano lewej nogi, prawe ramię łukiem w górę.

Nogi w kolanach proste. Głowa prosto — w przedłużeniu tułowia.

b) Na dwa! — Powrót do postawy wyjściowej

To samo w prawo.

5. Postawa — leżenie tyłem, dłonie na ziemi.

a) Na raz! — Unieść złączone nogi do kąta 45 stopni. Palce nóg w przód.

b) Na dwa i trzy! — Nożyce prostymi nogami z jednocześnie wolnym opuszczaniem

niem nóg w dół do pozycji wyjściowej.

6. Postawa, — stopy złączone, ramiona w dół.

a) Na raz! — Ramiona w bok, lewa noga w górę (zgięta w kolanie).

Kolano jak najwyżej, palce nogi w dół.

b) Na dwa! — Wytrzymać w tej pozycji jedno tempo.

c) Na trzy! — Powrót do postawy.

To samo nogą prawą.

7. Postawa, — rozkrok, ramiona w górę.

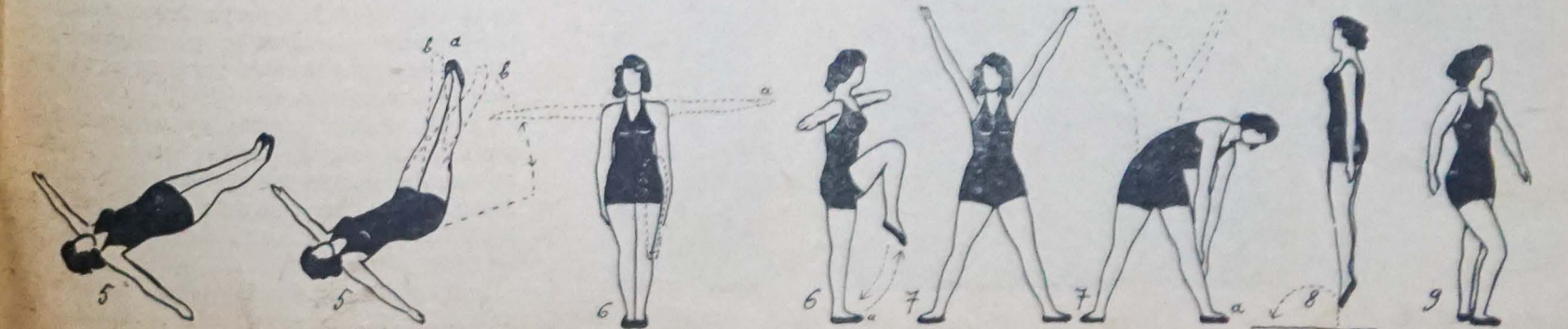
a) Na raz! — Skręt i skłon tułowia w lewo z opuszczeniem obu rąk na lewą stronę (dotknąć lewą łydkę).

b) Na dwa! — Wyprost tułowia, ramiona w górę. To samo w prawą stronę.

8. Postawa, stopy zwarte.

Na zmianę: trzy podskoki w miejscu, trzy małe skoki w przód obunóż.

9. Marsz, lekki bieg, marsz.





(fot. T. Szumański)

Serca żołnierzy tęsknią do nieustraszonego przez pojazdy mechaniczne życia.

Na tęsknotę tę zlatują uccelletti — dzieci włoskie (uccelletti — ptaszynki).

W tym ponurym czasie — żołnierz i dziecko ratują się wzajemnie. Ich przyjaźń zawazuje się natychmiast, w ogniu jeszcze.

1.

Dowózający amunicję żołnierz zatrzymuje się przed pagórkami. Tu jest bezpieczniej. Żołnierz dawno już nie zmienił bielizny, dawno nie jadł nic poza strawą z puszek, jeszcze dawniej — tkwi w nieustannym życiu cygańskim; a już najdawniej, od nigdy — nie miał wieści z domu. Pożółkła, wystrzępiona fotografijka dziecka, które zostało w Polsce, jest sama jak marniejący kłębek życia.

I nagle — przy ziemi, która zda się nie ma innego zadania, jak bezplodnie podzardzewiać żelastwem — żołnierz widzi dwie jasne zmierzwiłone czupryny: kilkunastoletnie chłopcy zwiły matczynemu ochapieniu i wyprawiły się oglądać te sprawy wojny ze rżym sircbaniem nosów, maksimum nieufności i maksimum zachwytu.

Żołnierz wyciąga papierową tutkę z cukierkami z NAFFI. Są cukierki zielone, są cukierki czerwone, są cukierki żółte; przecie to wielki problemat, jak który będzie smakował.

2.

Po tej znajomości, kiedy przesunie się front, relacje stają się bardziej masowe. Na skrzyżowaniach ulic, pod starymi górkami, którym wojna wyłuskała oczy, stanął polski żandarm i reguluje ruch, zasnurujący swym chrzestem życie.

Żandarm ma wzrok zmęczony notowaniem numerów, ręce go boją od wiewania białą opiętymi rękawami nad tymi nadludzkimi sprawami,

I wtedy słyszy u swoich stóp, w innym podobnym wymiarze spraw, którymi przesącza przytłoczony głazami wojny strumyk trosk o mangaria — znajome porozumiewawcze siorbnięcie.

Żandarm przysiąda — tak robi człowiek w zbyt dusznej łańi — dołem idzie struga świeżego powietrza.

Zdejmie żandarmowi białą czapkę, białe rękawy, naklejki, numery, etykiety — nie będzie się wiele różnił od tutejszych „contadini”.

I dlatego, choć nie znają wzajemnie swego języka — wiele ma sobie do powiedzenia to przykucnięte towarzystwo.

3.

A potem — kiedy już żandarmi nawskazywali drogę pojazdom mechanicznym — pojazdy mechaniczne wybrzusiły z siebie pękate kancelarie i przysadzistą kategorię C — panów sierżantów po czterdziestce — zawzięcie skrzybiących zardzewiałym piórem po formularzach.

Pana szefa zapiętrzyły te formularze, pana szefa oblepiły oznaki wojny, na jego swojej górnej lewej ćwiartce pan szef ma cztery wojenne znaki na piersi, trzy na rękawie, jeden na ramieniu, jeden na

3

Pod tym zalepieniem wojną, pana szefa czasem całkiem prywatnie i całkiem



(fot. T. Szumański)

4

chutko może pobolewać cywilna wątroba ale na to jest tylko „karta skierowania” i nie ma żoniniego zabiegu. Pan szef wówczas bierze na ręce „bambino” z pękatem brzuszkiem i z pretensjonalnym lokiem; wątroba nieco przestaje boleć, ale biada pana szefowej czekoladzie.

Listy do Redakcji

Pielgrzymka na Górę Karmel

W dniu święta Niepokalanej przybyłam z gromadką bezdomnych, tułających polskich dzieci na górę Karmel, gdzie króluje Matka Boska Szkaplerzna.

Uroczysta msza święta, głęboko patriotyczne, wzruszające kazanie księdza kapelana Guzika i pobożne słowa kościelnych pieśni, śpiewanych przez chór naszych chłopców, pozwoliły mi zapomnieć o mej samotności wygnania.

W czasie mszy św. weszła do kościoła Arabka z małym swoim synkiem. Wzrok mój prześliznął się po ich postaciach stojących w jedwabne kolorowe szaty i przeniósł się na szaro-zielone mundurki naszych chłopców i na mój mundur ochotniczki. W przepychu świątyni, wykładanej marmurowymi płytami, ozdobionej pięknymi malowidłami i w porównaniu ze zbyt krowym strojem Arabki i jej dziecka — szara wygnańca garstka polskich dzieci i ich nauczycieli tworzyła jakby zakon pielgrzymów.

Gorącą modlitwą błagalną zwróciłam się do stóp Matki Boga, by tą tułającą garstkę szczęśliwie łaską Swą doprowadziła do Ojczyzny. Myślałam przebiegłam szlaki, którymi Bóg przywiódł nas do Ziemi Obiecanej. W głębi stepów nieprzejranych w nieogócinnej ziemi syberyjskiej, wobec bezmiarów nieba, wierni wpojonym zasadom katolickim — pod ogwiewdzoną kopułą niebieską, w gromach burzy, w złoście słońca, w przepychu kwiatów stepowych — widzieliśmy wszechmoc Boga, w którego opiekę ufnie oddawało się serce polskie. W ciemnych, mrozem oszronionych izdebkach wierne serca polskie paliły się jasnym ogniem miłości Bożej, drżące usta szeptały perły słów litanii i modlitw, której towarzyszyły perły łez, marznących na wynędzniałych polickach.

Gdy znalazłam się u stóp Matki Boskiej Szkaplerznej, przypominałam sobie moment z mego dzieciństwa, gdy matka moja, szczególniejąc czcąc Ją, drżącą ręką wiozła mi na szyję szkaplerz. Dziś mnie, czterdziestokilko-letnią kobietę, spotkało to szczęście, że znalazłam się u stóp cudownej Matki Boskiej Szkaplerznej, do której miliony serc tęsknią. I znowu przeniósł mnie pamięć do innej świątyni, która stała na górze Karmelickiej, ale w Polsce. W nawach gotyckiego klasztoru, trochę mrocznych i jakichś tajemniczych dla umysłu kilkunastoletniej dziewczynki — przesuwali się bezszelstnie ojcowie zakonnicy. Do tej świątyni, kilkunastym dzieckiem, zaprowadziła mnie matka moja, pod osłonę Matki Niebieskiej oddała, kładąc mi na szyję szkaplerz.

Nie zawiodła mnie nigdy Matka Niebieska. Przez szczęśliwe życie w Polsce, w domu, w gronie umiłowanej rodziny czułam wyraźnie Jej opiekę, pomoc w smutku, czy nieszczęściu.

Kłęcząc u Jej stóp, dziękuję Jej kornie za cudowne wybawienie moich dzieci z otchłani bolszewickiej, za ocalenie życia mężowi w wojnie 1939 r. i za jego zdrowie, którym go obdarza za drutami niemieckiego obozu.

Ufna w Jej stawiennictwo, błagam Ją znowu o nową łaskę: „Uchowaj od wszelkiej złej przygody syna mego i jego kolegów, którzy kroczą krwawym trudem po wojennej ścieżce ku stronom ojczystym. Niech Twój szkaplerz, który noszą na sercach swoich, będzie im puklerzem przeciw niebezpieczeństwom, czyhającym na nich ze strony wrogów. Mario Szkaplerzna wspieraj ich Swą łaską!”

Amalia Falkiewicz

Ziemia Święta, w grudniu 1944 r.



(fot. T. Szumański)

5

Kiedyś te tryby zerdzewieją do łta, a nad nimi buchnie zielone życie.

M. W.

Jakie zagadnienia nas interesują?

Kochana Redakcjo! Ostatnia „Ochotniczka”, która zawiera tyle cennych i pięknych artykułów, wywołała wśród nas szereg gorących dyskusji.

Artykuł „Młoda Polska Podziemna” przyjęliśmy z wielką radością. Każda bowiem wiadomość o Kraju wyczekiwana jest przez nas niecierpliwie. Chcemy wiedzieć, jak myślą i jak przygotowują się do przyszłości, ponieważ stan obecny uważamy za przejściowy. Wiemy, że idziemy do nowej Polski — innej, jak dotychczas. Dlatego też pragniemy również dostatecznie się przygotować, by dorównać jej w Kraju i stanąć po powrocie do współpracy przy odbudowie.

Interesują nas zagadnienia: ekonomiczne, społeczne, polityczne i ustrojowe. Prosimy Cię, Kochana Redakcjo, o jak najwięcej takich artykułów.

Artykuł „Młoda Polska Podziemna” napędza nas dumą i dodaje bodźca do dużej pracy nad sobą. Z treści wynika, że społeczeństwo nasze nie zaniedbuje niczego, by Polska w przyszłości stała się krajem pod każdym względem doskonałym.

Miałabym tylko jedno zastrzeżenie, a mianowicie uderza nas to, że młodzież odwraca się niejako od przeszłości i wszystkiego, co było. — Dążenie do lepszego i doskonałości jest piękne — jednakże przeszłość nasza jest nie mniej piękna i nie ma potrzeby ani od niej się odwracać, ani się jej wstydząć. Lecz mam nadzieję, że, gdy będziemy wszyscy razem, i pod tym względem porozumiemy się.

Prosimy Cię więc, Kochana Redakcjo, pomóż nam w naszych zamiarach i chęciach zapoznania się z tymi zagadnieniami, o których wyżej wspominałam — a wrócimy do Kraju pełnowartościowe, gotowe do każdej pracy.

Krysia



(fot. F. Malinik)



(fot. Chraciel)

Odnaczenie Ks. Wycisła

Dnia 21.1. b. r. odbyła się w Domu Wypoczynkowym dla Ochotniczek i Sióstr P.C.K. w Rzymie uroczystość wręczenia przez J. E. Ks. Biskupa Pol. Gawlinę krzyża „Orderu Maltańskiego” — Ks. A. Wycisła, Delegatowi z Ameryki.

W serdecznych słowach J. E. Ks. Biskup zaznaczył, że wysokie to odznaczenie Zakonu Maltańskiego nadaje Ks. Wycisła za opiekowanie się żołnierzami W. P. i uchodźcami.

W uroczystości wzięli udział Ks. K. Komendant Placu, oficerowie, przedstawiciele prasy, żołnierze i ochotniczki.

Ochotniczki szczególnie odczuły radośnie nadanie Ks. Wycisła tego wysokiego odznaczenia, ponieważ one właśnie tak wiele korzystają z dobrodziejstwa tej opieki.

Uczennice SMO na praktyce

Uczennice żeńskiego Gimnazjum Kupieckiego Szkoły Mł. Ochotniczek w Nazarecie odbyły w okresie wakacyjnym dwu tygodniową praktykę w fabrykach i instytucjach gospodarczych żydowskich w Palestynie. Z inicjatywy dyrektora Banku PKO w Tel-Awivie, p. Piecha, 30 uczennic miało możność poznać nowoczesne urządzenia i systemy pracy. Organizacją praktyki zajęły się instytucje żydowskie i zrzeszenie kobiet żydowskich WIZO. Nie trzeba dodawać, że praktyka miała duże znaczenie dla pełnego wykształcenia zawodowego uczennic, na które czekają ołbrzymie zadania w gospodarstwie zniszczonym Kraju. Instytucje żydowskie, w których dziewczęta nasze odbywały praktykę, okazywały zrozumienie dla pracy i ustosunkowały się bardzo serdecznie do Polek. Organizacja „WIZO” dostarczała przez cały czas trwania praktyki bezp. obiadów, które wydawano dziewczętom w ich miejscach pracy.

Harcerki w pomocy wojennej

Organizacja harcerek brytyjskich „Girl Guides Association”, licząca w W. Bryt. 550 członkin postanowiła wziąć czynny udział w pomocy powojennej. Za ofiarowaną pomoc przyjęły rządy 3 państw: Polski, Grecji i Jugosławii. Akcja ta oparta jest na zgłoszeniach ochotniczych członkin w wieku powyżej lat 21, posiadających odpowiednie wyrobienie organizacyjne i fachowe oraz pełnię zdrowia fizycznego. Wymagania stawiane ochotniczkom są bardzo wysokie. Organizacja tej akcji opiera się na zespołach przygotowanych do objęcia placówek pracy opiekuńczej, n. p. punktów masowego wyżywienia, pogotowia opieki nad dziećmi, kantyn i t. p. Organizacja harcerek gotowa jest pokryć z własnych funduszy pełny koszt wyjazdu i utrzymanie zespołów w czasie akcji. Okres pracy zespołów w Polsce określono na 6 miesięcy, po jego upływie zespoły będą wymieniane na nowe. Całkowity okres trwania akcji ustalono na około 2 lata.

Sprawiedliwość jest niepodzielna

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” zamieścił wywiad przeprowadzony przez specjalnego wysłannika redakcji z posłanką francuską do Izby Deputowanych, Mariannę Berget, która oświadczyła, że kobiety francuskie pragną sprawiedliwości. Jeśli ma być trwały pokój, Niemców należy obezwładnić całkowicie. Francja pragnie odbudowy wszystkich okupowanych przez Niemców krajów europejskich, a szczególnie Polski. „Pragniemy” — powiedziała deputowana Berget — „sprawiedliwości dla wszystkich, bo sprawiedliwość jest niepodzielna”.

NA REPORTAŻ Z PRACY P. S. K.

Redakcja „Ochotniczki”, chcąc zachęcić do współpracy swoich czytelników, ogłasza konkurs na reportaże z pracy P.S.K. w 2 Korpusie. Warunki konkursu są następujące:

1. Reportaż nie może przekraczać 300-tu wierszy „Ochotniczki”. (Autorka, lub autor mogą dołączyć zdjęcia fotograficzne, albo rysunki, ilustrujące treść reportażu).

2. Termin nadsyłania reportaży do dnia 1. marca b.r. (Adres: Redakcja Czasopism i Wydawnictw Wojskowych Oddziału Kultury i Prasy — dla „Ochotniczki”, Polforces G.M.F. 62. Na kopercie należy zaznaczyć: Konkurs „Ochotniczki”).

3. Redakcja wyznacza trzy nagrody: 3000, 2000 i 1000 lirów.

4. Oceny nadesłanych utworów dokona Sąd Konkursowy.

5. Redakcja zastrzega sobie prawo drukowania nagrodzonych i wyróżnionych utworów.

6. Do rękopisu załączyć należy załączoną kopertę, na której tak samo, jak na rękopisie, umieścić godło, zaś wewnątrz koperty kartkę z imieniem, nazwiskiem i adresem autora.

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|--|--------------------|---|----------------------|
| 1. Rozpraszanie mgły | Tomasz Orawski | 13. „Kresowa,, w natarciu na kawę | Witold Sz. |
| 2. Dlaczego Międzmorze? | J. N. | 14. Ś. p. Henryka Gromulska | Halina Terlecka |
| 3. Pomiędzy siłą i słusznością | Jarostaw Żaba | 15. Pytania nocne | Kazimiera Itlakowicz |
| 4. Nie! | Jarostaw Żaba | 16. Dar 2 Korpusu dla Ojca Świętego | Hanna Mirecka |
| 5. Kraków w moim wspomnieniu | Maria Weberówna | 17. Częstochowska | M. R. |
| 6. Kasztany | Ref-Ren | 18. Honorowa obywatelka Warszawy | M. W. |
| 7. Nie wrócił z nich ani jeden | Herminia Naglerowa | 19. „Żenszczyzny s lebidem,, | |
| 8. W laboratorium radości życia | Janina Pilatowa | 20. Gimnastyka dla ochotniczek | |
| 9. Do młodości | Stefan Żeromski | 21. Uccelletti | |
| 10. Pomocnicza Służba Kobiet w r. 1944 | Halina Zawodzińska | 22. Konkurs na reportaże o pracy P. S. K. | |
| 11. Siostra Lusja | Seweryn Ehrlich | 23. Listy do redakcji | |
| 12. Dzień wypełniony po brzegi | Stefania Łomnicka | 24. Kronika | |

WŁOCHY, 1945 r.

„Ochotniczka” ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Herminia Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczka” nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2 Korpusu, w Oddziałach P.S.K., w Kantynach polowych, oraz Świetlicach

Cena 20 lirów

TŁOCZONO w DRUKARNI POŁOWEJ